



*Sheri WhiteFeather*

*Kim jest ten  
mężczyzna?*

---

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Życie nie jest proste. Z tym dwudziestoosmioletnia Lourdes Quinterez zgadzała się bez zastrzeżeń. Właśnie dzisiaj jedyny parobek zatrudniony na ranczu musiał wyjechać do Meksyku w sprawach rodzinnych i wszystko wskazywało na to, że się więcej nie zjawi.

To nieszczęście było jednak chyba najmniejszą z katastrof, jakie ją ostatnio spotkały. Painted Spirit, kwitnące niegdyś ranczo, które Lourdes odziedziczyła po dziadku, podupadało z powodów finansowych. Brak pieniędzy na podatki sprawił, że zaciągnęła długi w banku, a spłata odsetek pochłaniała znaczną część dochodów, uniemożliwiając uregulowanie niemal wszelkich pozostałych zobowiązań.

Uciekając przed suchym teksaskim wiatrem smagającym ją po policzkach i rozwiewającym włosy, Lourdes weszła do stodoły i ruszyła w stronę spichlerza po zapasy, starając się opanować panikę. Od jej zaradności zależał los rodziny - przyszywanej babki, jej wnuczki nastolatki, spędzającej na farmie wakacje, i dwójki jej własnych dzieci, czteroletnich bliźniąt.

Miałyby łatwiejsze zadanie, gdyby tylko sytuacja nie była tak rozpaczliwa. Gdyby tylko ranczo znajdowało się w lepszym stanie. Gdyby tylko...

Nagle za korcem z ziarnem dostrzegła jakiś ciemny kształt. Drapieżnik? Zamarła, przyciskając dłoń do piersi. Zwykle niełatwo ją

było przestraszyć, ale zlekła się, gdy na ziemi zobaczyła męską postać.

Lourdes wołała zwierzęta.

Mężczyzna w jej stodole oznaczał kłopoty. Był włóczęgą? Pijakiem odsypiającym kaca? Niebezpiecznym przestępcą?

Rozejrzała się wokół w poszukiwaniu broni i wśród nieużywanych narzędzi w kącie spostrzegła zardzewiałe widły do siana. Całe szczęście, że nie miała czasu uprzątnąć bałaganu. Chwyliła widły i ostrożnie, krok za krokiem, zaczęła się zbliżać do nieruchomego ciała. W końcu wyjrzała zza korca i aż wstrzymała oddech.

Intruz, rosły mężczyzna oparty bezwładnie o ścianę, nie zdołałby odeprzeć niczyjego ataku. Był posiniaczony i zakrwawiony. Podeszła bliżej. Jego zmięte ubranie - drelichowa koszula i dżinsy - nosiło ślady walki. Mógł być poważnie ranny.

Przyklękła obok niego i na mgnienie oka ich spojrzenia się spotkały. W tym momencie uświadomiła sobie, że nieznajomy ostatkiem sił stara się zachować przytomność. Odłożyła widły i przycisnęła mu dłoń do czoła; było gorące i wilgotne. Lourdes odruchowo odgarnęła jego ciemne włosy z twarzy. Pokrywały ją smugi ziemi i zaschniętej krwi, jedno oko było prawie zupełnie zapuchnięte. Jak długo ukrywał się w stodole? Był tu całą noc czy też zjawił się dopiero dziś rano?

Musi go zabrać do domu, do bezpiecznego, czystego łóżka. Caco będzie wiedziała, co robić. Przybrana babka była zielarką

praktykującą tradycyjną sztukę uzdrawiania. Wielu Indian w okolicy żyło dzięki jej umiejętnościom. Mężczyzna nie wyglądał jednak na Indianina. Wyglądał na...

Kogo? Meksykanina? Greka? Włocha? Nie miało to znaczenia. Caco i tak się nim zajmie.

Lourdes podeszła do drzwi i zawołała Amy, wnuczkę Caco. Nastolatka zjawiała się niemal natychmiast, a na widok obcego omal nie udławiła się gumą do żucia.

- Kto to jest? - spytała przerażona.

- Nie mam pojęcia. Ale musimy go zabrać do Caco. - Zanim zemdleje, dodała w myślach. — Trzeba go zaprowadzić do ciężarówki.

Uklękła znowu obok mężczyzny. Musiał ważyć około stu kilogramów, więc nie zdołałyby go unieść nawet we dwie.

- Dasz radę iść, jeśli ci pomożemy? - zapytała. Zamrugał, po czym skinął lekko głową, wciąż spoglądając nie do końca przytomnie.

Postawienie go na nogi okazało się bardzo trudne, lecz potem poszło już łatwiej. Wraz z Amy objęły go w pasie, by mógł się na nich oprzeć. Musiał mierzyć co najmniej metr osiemdziesiąt siedem; wyglądał między nimi niczym pokonany olbrzym. Z trudem wtoczyły go do ciężarówki, zaraz potem bezwładnie osunął się na Lourdes, która usiadła obok. Wszystko w nim zdawało się mroczne i niebezpieczne: oliwkowa cera, oczy a barwie nocy, czarno-brązowe włosy.

Lourdes rzuciła kluczyki Amy. Dziewczyna chwyciła je radośnie, uruchomiła silnik i ruszyła gazem na przełaj, wypuszczając balony z gumy przy każdym wyboju. Lourdes nie kazała jej zwolnić. Półprzytomny mężczyzna wydawał się dobrą wymówką, by jechać szybko.

Amy zahamowała gwałtownie przed domem, wypadła z szoferki i pobiegła na poszukiwanie babki.

Po chwili zjawiała się Caco, krzepka staruszka z kokiem przyprószonym siwizną. Bawełniana sukienka wydymała się wokół niej na wietrze. Lourdes nigdy nie była szczęśliwsza na jej widok.

- Amy jest z dziewczynkami - powiedziała Caco, dając do zrozumienia, że wszystkie dzieci zostały łagodnie usunięte z drogi.

Lourdes kiwnęła głową i odsunęła się na bok, żeby babka mogła zbadać rannego. Indianka najpierw spojrzała mu uważnie w oczy, po czym przesunęła zręcznymi dłońmi po jego głowie. Mężczyzna drgnął, gdy natrafiła na wrażliwe miejsce.

- Ktoś cię musiał uderzyć jakimś tępym przedmiotem. Dlatego jesteś taki oszołomiony - wyjaśniła. - Dasz radę ustać na nogach, aż cię doprowadzimy do łóżka?

Przytaknął i choć kosztowało go to wiele wysiłku, starał się trzymać prosto. Jednak w momencie, kiedy Caco i Lourdes przywlokły go w pobliże łóżka, runął na nie i stracił przytomność, którą udało mu się zachować aż do tej chwili.

Ocknął się podczas badania. Caco oceniła rozmiar źrenic i reakcję na światło, by wykluczyć- uszkodzenie mózgu. Wyglądało na

to, że ranny ma problemy z pamięcią, bo mętnie odpowiadał na zadane pytania.

- Pilnuj go - rzuciła babka do Lourdes, wychodząc z pokoju. - Zawołaj mnie, jeśli znowu zemdleje. Idę przygotować wywar z korzeni.

Kiedy zostali sami, nieznajomy obrócił się, jęknął i złapał poduszkę. Podwójne łóżko okazało się dla niego za krótkie, nogi wystawały mu poza jego obręb. Koszula, która częściowo wysunęła się ze spodni, miała urwany rękaw i dwa dolne guziki. Dżinsy były poplamione i prawie zsuwały mu się z bioder.

Chwilę później wróciła Caco, niosąc miskę z wodą oraz myjkę, i ustawiła je na szafce. Pokój dla gości był niewielki, ze ścianami wykładanymi drewnem, barwnymi pledami miejscowego wyrobu i złożonym lustrem z czasów, gdy Lourdes się urodziła. Spojrzała w stronę łóżka i zastanowiła się, ile lat może mieć nieznajomy. Podejrzewała, że trzydzieści parę.

- Pomóż mi go rozebrać - poleciła Caco, kiedy obcy zamknął oczy.

Ma mu zdjąć tę zakrwawioną koszulę i dżinsy?

- To konieczne? - spytała głupio. Caco spojrzała na nią z irytacją.

- Oczywiście. Muszę zbadać, czy nie ma innych obrażeń, i trzeba go umyć. Oczyszczyć z gorączki.

Sięgnęła po koszulę, zostawiając Lourdes buty i spodnie. Cholera, dam sobie radę. Potrafię ściągnąć z nogi kowbojski but.

- Mówił coś do ciebie? - spytała babka.

- Nie.

- Ma wstrząs mózgu. - Caco rozpięła guziki koszuli. - Musimy go pilnować. Nawet łagodny uraz głowy powoduje zmiany w pracy mózgu. Na wiele dni, a nawet tygodni. - Odkryła połę koszuli i krzyknęła cicho ze zdumienia.

Lourdes podniosła głowę, by zobaczyć, co się stało. Zrozumiała natychmiast. Srebrny krzyżyk na szyi obcego wyglądał zdumiewająco znajomo. Sięgnęła po niego. Wyglądał identycznie jak tamten należący do jej ojca. Sentymentalne dziedzictwo Lourdes, które jej mąż kilka lat temu zastawił w lombardzie wraz z resztą jej biżuterii. Straciła wiele cenniejszych przedmiotów, lecz tego żałowała najbardziej. Obróciła krzyżyk i znalazła wygrawerowany napis.

**Aby cię chronił.**

To był jej krzyżyk. Jej dziedzictwo. Jej serce.

Czy mężczyzna kupił go wtedy, dawno temu w lombardzie? Gdy Lourdes odkryła, co się stało, próbowała odzyskać pamiątkę, lecz krzyżyk został już sprzedany.

- Skąd go ma? - zapytała na głos.

I czemu zjawił się na jej ranczu, pobity i ranny?

Caco milczała. Cofnęła się w cień, gdy nieznajomy wyciągnął rękę i pogładził Lourdes po policzku. Czubki jego palców przesunęły się po jej skórze, budząc ją do życia. Dotknięcie kochanka.

Nieoczekiwana pieśczość obcego.

Zaraz potem dłoń opadła bezwładnie na białe wy-krochmalone prześcieradło. Mężczyzna leżał nieruchomo, oszołomiony, zagubiony w labiryncie własnego umysłu.

Ja też jestem oszołomiona, pomyślała Lourdes, patrząc raz jeszcze na srebrny krzyżyk.

Caco zbliżyła się, rozpięła mankiety koszuli i podjęła przerwana pracę. Lourdes wiedziała, że powinna zrobić to samo. Nie było to jednak łatwe pod szklistym spojrzeniem nieznajomego. Czując, że narusza jego intymność, rozpięła mu pas i dżinsy, pilnując, by bokserki pozostały na miejscu, kiedy zsuwała spodnie.

Długie, długie nogi, muskularne i pokryte ciemnymi włosami. Podczas gdy Caco przesuwiała zręcznymi dłońmi po jego ciele, szukając pękniętych żeber i obrzmiałych kości, Lourdes przetrząsnęła spodnie mężczyzny w poszukiwaniu portfela - oraz dokumentu tożsamości z jego nazwiskiem, datą urodzenia, adresem, zdjęciami rodziny. Przejrzała wszystkie kieszenie i nie znalazła absolutnie nic.

- Musieli go obrabować - stwierdziła na głos, zerkając na jego otarte dłonie.

Czy się bronił? Rozgniewał napastników, stawiając im opór? Bo z pewnością było ich więcej. Dwóch, trzech?

- Żadnych połamanych kości - oświadczyła Caco.

Mężczyzna zamrugał i obrócił głowę na dźwięk jej głosu. Indianka zmoczyła myjkę w letnim naparze i przetrła mu twarz, zapewniając, że wszystko będzie dobrze.



Gdy zniknęły brud i krew, Lourdes nie mogła mu odmówić urody. Nawet mimo zapuchniętego oka, rozciętej wargi i sińców był niezwykle przystojny.

Caco podała jej myjkę.

- Dokończ, a ja się zajmę resztą lekarstw.

Kiedy starsza kobieta wyszła, Lourdes przysiadła na brzegu łóżka i przesunęła wilgotną myjką po jego szyi. Potem wzięła niepewnie oddech i zaczęła myć piersi oraz umięśniony brzuch z ciemną linią włosów biegnącą w dół od pępka i okropnymi śladami w miejscach, gdzie go kopano i bito. Zastanawiała się, czy mężczyzna zdaje sobie sprawę, jak czule pogładził ją po policzku; czy chciał, by poczuła się z nim związana. On sam nie mógł rozwiązać jej wątpliwości - spał, a na jego piersi błyszczał krzyżyk, jej najcenniejsza pamiątka.

Kilka godzin później, gdy Lourdes uporała się z codziennymi pracami, zabrała się do obiadu. Mimo paru nowoczesnych urządzeń, kuchnia zachowała wiele ze swego staroświeckiego wdzięku. Dom wzniesiono w latach czterdziestych i przebudowano w siedemdziesiątych; w wystroju kuchni ciemne drewno łączyło się ze złoto-zielonymi płytkami i kryształowymi gałkami u drzwi.

Lourdes podgrzała kotlety i dodała tartego sera do wielkiej misy makaronu, przygotowując ulubione danie swoich córek. Weszła Caco i wywołała ją na stronę.

- Jak się czuje? - spytała Lourdes.

- Nadal półprzytomny, lecz to nic dziwnego. Mamrotał jakiegoś bzdury, potem zasnął.

- Powinnyśmy zadzwonić do szeryfa.

- Po co?

- Zgłosić wypadek.

Caco odstawiła do zlewu pusty kubek po herbacie korzennej, którą zaaplikowała nieznanemu, umyła ręce i wytarła je papierowym ręcznikiem.

- Nie wiemy, co go spotkało - odezwała się po chwili. Lourdes odwróciła się, by wymieszać makaron.

- Został pobity.

- To prawda - zgodziła się starsza kobieta, zaczynając przyrządzać sos do sałaty. - Ale było mu pisane się tu zjawić. Znaleźć ciebie i oddać naszyjnik. - Uniosła głowę, oczy jej błyszczały. - A nam było pisane mu pomóc. I dobrze się stało.

Lourdes chciała zaprotestować, lecz nie potrafiła. Caco wyczuwała różne sprawy, które u zwykłych śmiertelników budziły dreszcz niepokoju. Co oczywiście nie czyniło z niej osoby wszytkowiedzącej. Niekiedy naginała logikę i przedstawiała pewne wydarzenia jako bardziej niezwykłe niż w rzeczywistości. Była też niezwykle przesadna. Podczas burzy nie spoglądała w lustro w obawie, że błyskawica zajrzy w nie również i ją zabije. Przywiązała krucze pióra do kołysek bliźniaczek, by je chronić od złych uroków. Proponowała też zawieszenie wypchanego nietoperza, ale na to Lourdes się nie zgodziła.

Podniosła wzrok i napotkała spojrzenie starej kobiety. Okej, no i co z tego? Zjawił się jakiś obcy z jej najdroższą pamiątką na piersi.

- W porządku, nie zadzwonię do szeryfa - uległa. Nie pozwoli się wtrącać władzom, jak długo mężczyzna będzie się znajdował pod opieką Caco.

- Doskonale. - Usta upartej staruszki rozciągnęły się w tryumfalnym uśmiechu. Lubiła stawiać na swoim.

Lourdes wciąż czuła na skórze dotyk mężczyzny, ciepło jego dłoni.

- Pewnie sam się zgłosi na policję, kiedy dojdzie do siebie.

- Może. - Indianka wlała sos do sałaty. - A może nie. Nie powinniśmy go naciskać. Musi odpocząć.

Już zaczęła traktować rannego jak własnego syna, lecz Lourdes niczego innego się nie spodziewała.

- Mamo - odezwał się dziecinny głosik.

Lourdes odwróciła się i zobaczyła w drzwiach córeczki. Jej śliczne dziewczynki o długich brązowych włosach i piwnych oczach. Jak zawsze trzymały się za ręce. Nina, gaduła, i Paige, obserwatorka. Czasem rozmawiały ze sobą w dziwnym gardłowym języku, który tylko one potrafiły zrozumieć. Pewnie wcale by im nie przeszkadzało towarzystwo wypchanego nietoperza..

- Możemy zobaczyć chorego pana? - spytała Nina. Lourdes wiedziała, że wszelkie próby odgroźnienia od

tego, co się stało, jedynie pobudzą ich ciekawość. Spojrzała na Caco; Indianka lekko skinęła głową, po czym ostrzegła:

- Tylko go nie obudźcie.

- Będziemy cichutko jak myszki - zapewniła Nina. - Prawda? - zwróciła się do siostry.

Paige kiwnęła głową i obie na palcach ruszyły za Lourdes do pokoju gościnnego. Ich milczenie nie trwało długo. Na widok poranionego mężczyzny aż sapnęły z przejęcia.

- Wszędzie ma siniaki - zauważyła Nina.

- To prawda.

Lourdes spojrzała nieznajomego. Leżał na boku, obejmując ramieniem poduszkę tak, jak mógłby tulić ukochaną kobietę. Łagodnie, władczo. Nagle ogarnęła ją fala gorąca; chciała go dotknąć, przesunąć palcami po miejscu, gdzie srebrny krzyżyk odcisnął się na piersi. Skąd o tym wiedziała? Przecież pierś miał zakrytą prześcieradłem.

- Ktoś go zbił, mamó? - spytała Paige, obserwatorka.

- Tak.

- Kto?

- Nie wiem.

Obie dziewczynki ruszyły w stronę nieznajomego. Chciała je powstrzymać, ale jej się wywinęły. Przez chwilę przyglądały mu się tylko, po czym delikatnie poklepały go po głowie - tak jak same zostałyby pocieszone w podobnej sytuacji. Łzy napłynęły Lourdes do oczu. Bliźniaczki nie znały swojego ojca. W ich życiu nie było żadnego mężczyzny. Oczywiście drań, który je spłodził, nie nadawałby się do tej roli. Gunther Jones był przestępcą, narkomanem i złodziejem. A ty kim jesteś? - chciała zapytać śpiącego.

Może miał żonę i dzieci, kochającą rodzinę, która martwiła się teraz o niego. Lourdes zerknęła na jego lewą dłoń bez obrączki. A może nikogo nie miał. Albo był rozwiedziony. Albo był...

Kim? Przestępcą? Złodziejem?

Powinnam zadzwonić do szeryfa, pomyślała. Ale obiecała Caco, że tego nie zrobi.

- Chodźcie - zwróciła się do bliźniaczek. - Pora na obiad.

Poprowadziła je do drzwi i raz jeszcze spojrzała na przybysza. Przystojny nieznajomy już zaczął sobie torować drogę do jej serca.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Coś uderzyło głucho o podłogę. Lourdes, walcząc z sennością, spojrzała na zegarek: 2.46 nad ranem. Włożyła szlafrok, podkradła się do drzwi i wyjrzała ostrożnie.

W korytarzu zauważyła rosłą, szeroką w ramionach sylwetkę. Czyżby przybysz chodził we śnie? Westchnęła głęboko i postanowiła odprowadzić go z powrotem do łóżka. Czytała gdzieś, że lunatyków nie należy budzić. Pewnie nie powinna się też do niego odzywać. W milczeniu zbliżyła się do niego i ujęła go za rękę. Nie był już cieniem; był rzeczywisty i namacalny. Mięśnie miał silne i twarde pod jej palcami.

- Nie mogę znaleźć łazienki. Drgnęła, słysząc jego głos.
- Nie śpisz?
- Muszę do toalety.
- Okej. Ale to w przeciwną stronę.

Obróciła go dokoła. Nie stał szczególnie pewnie na nogach, więc trochę obawiała się go puścić.

- To tutaj. Te drzwi. Dasz sobie radę?
- Potrafię korzystać z łazienki - mruknął. - Nie jestem dzieckiem.

Nie, był dorosłym mężczyzną, który nie potrafi znaleźć klamki. Po chwili pchnął drzwi i zaczął szukać kontaktu. Lourdes zapaliła światło; zaalało ich światło stuwatowej żarówki. Mężczyzna zmrużył oczy; zauważyła ich szklisty połysk. Nie miał pojęcia, gdzie się

znajduje ani z kim rozmawia. Chwiejnie wszedł do środka i głośno zatrzasnął za sobą drzwi.

Lourdes czekała nerwowo po drugiej stronie, nasłuchując, czy nie dobiegnie jej głos padającego ciała. Ale nie, po chwili rozległ się szum spuszczonej wody, a potem plusk wody w kranie. Nawet w stanie oszołomienia nie zapomniał o umyciu rąk. Nawyk, pomyślała.

Otworzył drzwi i wytrzeszczył na nią oczy. Wyciągnęła do niego rękę.

- Odprowadzę cię do pokoju. A następnym razem powinieneś użyć kaczki.

- Mowy nie ma - burknął.

- Uparty typ.

- Uparta kobieta - odparł.

Lourdes nie mogła się nie uśmiechnąć. Nigdy sobie nie wyobrażała, że będzie prowadzić podobne dyskusje w środku nocy, na dodatek z obcym mężczyzną.

W pokoju nieznajomy ruszył prosto do łóżka i nakrył się prześcieradłem. Resztę okryć zrzucił na podłogę. Czyżby miał gorączkę, zaniepokoiła się Lourdes. Położyła mu dłoń na czole. Trochę chłodniejsze niż poprzednio, lecz wciąż ciepłe.

- Chcesz wody? - zapytała i z dzbanka stojącego przy łóżku naląła do szklanki. Pokręcił głową.

- Jak ci na imię?

- Lourdes.

- Jak ta miejscowość we Francji.

- Tak.
- Śniesz mi się?
- Nie. Jestem naprawdę.

Podsunała mu wodę, której wcześniej odmówił. Napił się przez słomkę i skrzywił - zapewne nie z powodu smaku, lecz z bólu w rozciętej wardze.

- Położysz się obok mnie? Serce zabiło jej szybko.
- Nie mogę. Mam własny pokój.
- Pocałujesz mnie?

Boże, ratuj.

- Masz rozciętą wargę.

Skrzywił się.

- Co za paskudny sen.

Odstawiła szklanekę na stolik, czując, jak poci się jej ręka.

- Boli mnie głowa - odezwał się nagle. Zmierzył ją spojrzeniem podpuchniętych, błyszczących chorobliwie oczu. - Przepraszam. To powinna być twoja odpowiedź.

Omiał się nie roześmiała. Mimo wstrząsu mózgu zachował poczucie humoru.

- Powinieneś się przespać.

- Już śpię. Na jawie nie ma się marzeń. - Nieprawda, pomyślała.

Ona oczywiście nigdy sobie na -nie nie pozwalała. Była zbyt zaharowana, zbyt przytłoczona codziennymi problemami.

- Dobranoc - powiedziała i wstała, żeby zgasić światło.
- Lourdes?



Obróciła się zaskoczona brzmieniem swojego imienia wypowiedzianego niskim, ochrypłym głosem.

- Tak?

- Na pewno nie mogłabyś się obok mnie położyć?

Uśmiechnęła się. Był taki zabawny.

- Na pewno. - Ciekawe, czy rano będzie coś z tego pamiętał. -

Przyniosę ci śniadanie. - Zerknęła na zegar. - Jak się zrobi jasno.

By sprawdzić, czy zapamiętał, że kobieta imieniem Lourdes mu się nie śniła.

Aromat świeżo zaparzonej kawy oraz skwierczących jajek na bekonie unosił się w powietrzu. Lourdes ruszyła jego śladem i dotarła do kuchni, gdzie Caco krzątała się przy płycie w zbyt obszernej sukience.

- Dzień dobry. - Indianka nalala kawy do kubka i podała Lourdes.

- Dzięki.

Dosypała zabielaacza. Nigdy nie używała mleka. Lubiła kawę jak najgorętszą, a rozcieńczanie jej innym płynem uważała za bezsensowne. Ubrała się odpowiednio do długiego dnia pracy, w dzinsy i solidne buty, a ciemnoblond włosy spięła z tyłu. Zdążyła już zadzwonić do sąsiada, który przyrzekł wypożyczyć jej na parę dni jednego z robotników, zanim uda się jej znaleźć kogoś na stałe.

- Twój pacjent może dostać wreszcie coś solidniejszego do jedzenia? - zapytała Indianki.

- Owsiankę - odparła tamta, podnosząc pokrywkę małego garnka. - Rano zmieniłam mu opatrunek. I już się musiałam z nim kłócić, żeby zechciał wypić lekarstwo.

- Kłócić?

- Nie smakowało mu. Uparty typ.

- Fakt. - Lourdes poczuła, jak po jej ciele rozlewa się fala ciepła.

*Uparty typ. Uparta kobieta. Położysz się przy mnie? Pocałujesz mnie?*

Dopiła kawę i nałożyła owsianki do miski.

- Zanieść mu trochę soku? Caco podniosła wzrok.

- Idziesz go nakarmić? Weź mu parę brzoskwiń z puszki. Tylko nie siedź za długo, bo ci śniadanie wystygnie.

Lourdes prychnęła oburzona.

- Długo nie widziałas przystojnego mężczyzny -stwierdziła niewzruszona starsza kobieta.

Nie dam się wyprowadzić z równowagi, postanowiła Lourdes. Nie teraz, kiedy serce zaczęło jej szybciej bić na myśl o nieznanym.

- Jest przystojny? Nie zauważyłam.

- Nie umiesz kłamać. - Babka uśmiechnęła się szelmowsko. - A twoje śniadanie może poczekać.

Okej, więc została zdemaskowana. Ale chyba ma prawo popatrzeć?

Byle ostrożnie, ostrzegła samą siebie, idąc korytarzem. - Mężczyzna może być żonaty. Musi pamiętać, że nic o nim nie wie.

Zastała go siedzącego na łóżku ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń.

- Cześć, przyniosłam ci jedzenie. Spojrzał na nią uważnie.

- Gdzie jestem?

- W Teksasie, na przedmieściach Mission Creek. - Nie wiedząc, co zrobić, postawiła przed nim tacę i przysiadła na brzegu łóżka. - Na ranczu. Zajmiemy się tobą, aż wydobrzejesz.

Chciała go jakoś pocieszyć, uspokoić go.

- Pamiętasz mnie? Mam na imię Lourdes. Zmierzył ją wzrokiem tak samo jak ubiegłej nocy.

- Dziewczyna z Francji. Z mojego snu.

- To nie był sen, a ja nie jestem z Francji. Ale mój ojciec był.

Zauważyła srebrny krzyżyk. Krzyżyk, który ojciec dał matce na miesiąc przed swoją śmiercią.

- Lubisz owsiankę? Caco dodała mleka i cukru.

- Caco?

- Moja przyszywana babka. Pomagała mnie wychować.

Gdy Lourdes była dzieckiem, Indiankę wynajęto do pomocy w gospodarstwie, lecz z czasem stała się członkiem rodziny.

- Ta siwa kobieta? Kazała mi wypić jakiś ohydny wywar.

Lourdes nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Koralowy korzeń pomaga zwalczyć gorączkę. Musisz tego trochę wypić.

Mężczyzna zabrał się do jedzenia. Nalała mu świeżej wody do szklanki. Napił się przez rurkę.

*Pocałujesz mnie? Masz rozciętą wargę.*

- Caco pomaga mi wychowywać córeczki - odezwała się, by przerwać niezręczną ciszę.

- Masz dzieci?

- Bliźniaczki. Skończyły cztery lata. Śliczne i ogromnie bystre.

- To ty jesteś śliczna - odparł. - Chyba nigdy wcześniej nie śniła mi się dziewczyna z Francji.

- Nie jestem z Francji - przypomniała mu znowu, ucieszona, że uważa ją za śliczną, a zarazem zaniepokojona, ponieważ wciąż sądził, że mu się przyśniła. Wydawało się to bardzo romantyczne: jak bajka, w której to królowa budzi przystojnego nieznanego gorącym, zmysłowym pocałunkiem.

- Czemu czuję się taki rozbity? - Odsunął miskę. - Nie znoszę być taki skołowany.

- Caco mówi, że to przejdzie. To z powodu wstrząsu mózgu. Przyniósł sobie brzoskwinie i zaczął ostrożnie jeść zdrową stroną ust.

- Więc masz na imię Lourdes i nie jesteś z Francji.

- Tak. A ty? - spytała dziwiąc się, czemu nie zrobiła tego wcześniej.

Spojrzał na nią z przerażeniem. Dobry Boże, przemknęło jej przez myśl. On nie pamięta.

- To drobiazg.

Jak to drobiazg? - Rzucił łyżeczkę na tacę. - Nie wiem, kim jestem, do cholery. Nie wiem, jak się nazywam, gdzie mieszkam, skąd pochodzę.

- Przypomnisz sobie.

- Kiedy?

Za parę dni? Tygodni? Nie miała pojęcia.

- Zapytam Caco. Ona zna się na tym lepiej.

- Gdzie moje prawo jazdy?

- Wygląda na to, że zostało ukradzione razem z portfelem.

- Nie mam nazwiska. Co ze mnie za człowiek?

Lourdes ujęła go za rękę. Oddychał z wysiłkiem.

- Ja ci je nadam.

John? Nie, to zbyt pospolite.

- Juan - powiedziała na głos.

- Juan - powtórzył, akceptując jej wybór. - Juan jak? Potrzebuję nazwiska.

Przystojny nieznajomy.

- Guapo - zdecydowała. - Może być?

Czy może? - zastanowił się. Wiedział, co znaczy „guapo”. Po hiszpańsku „przystojny”. Czy wybrała to określenie celowo? Podobał jej się? Jak to możliwe? Widział się w lustrze - obrzmienia i sińce na twarzy, rozciętą wargę. Jak jest po hiszpańsku „brzydki”? Feo. Może tak powinna go nazywać.

- Podoba ci się nazwisko? - spytała znowu. Zmieszany pokiwał głową. Cóż, skoro ta piękna kobieta z jego snu uważa go za

przystojnego... Przechylił głowę, próbując myśleć jasno. To nie sen. Ciągłe mu to powtarzała. To się dzieje naprawdę. Lecz jak to możliwe? Wydawała mu się aniołem z powodu tych miodowych włosów i błyszczących czekoladowych Oczu. A anioły istnieją tylko w marzeniach.

Francuski anioł, który mówi po hiszpańsku. Nie zastanawiał się, skąd sam zna ten język. Po prostu znał, i tyle.

- Nie jestem już głodny - oznajmił.

Głowa bolała go z wysiłku, powieki stały się ciężkie. Kobieta wzięła tacę i postawiła ją na stoliku przy łóżku.

- Wyglądasz na sennego.

- To prawda.

Chciał poprosić, żeby położyła się obok niego, lecz zdecydował, że to nie wypada. Potem sobie przypomniał, że prosił ją już wcześniej i że odmówiła. Nic dziwnego. Nie znali się przecież. I miała dzieci z innym mężczyzną.

- Gdzie jest twój mąż, Lourdes?

Odwróciła się i przesunęła ręką po kołnierzyku koszuli.

- Nie mam męża. Zginął, nim zdążyłam się z nim rozwieść.

Pomyślał, że dziwnie to ujęła, lecz ucieszył się, że jest wolna.

Nie chciał, by tuliła się w nocy do kogoś innego. Nadal mógł jej pożądać w swoich snach.

- Śpij. Muszę zbudzić dzieci i zabrać się do pracy.

- Kiedy cię znowu zobaczę? - spytał zaniepokojony, że kobieta zniknie, że naprawdę tylko ją sobie wyobraził.

- Niedługo - odparła, zabierając tacę.

Zamknął oczy - wydawało mu się, że tylko na chwilę, lecz kiedy je znowu otworzył, jej już nie było. Jego anioł zniknął.

Minęły trzy dni, w ciągu których Lourdes prawie nie widywała Juana. Celowo trzymała się z dala. Ostatecznie był pacjentem Caco. A Lourdes miała sporo pracy na ranczu. Dzięki temu mogła nie myśleć o mężczyźnie, który mógł mieć żonę.

Patrzyła na pasące się konie. Stado nie było duże, lecz starannie dobrane, każda sztuka budziła podziw. Lourdes kochała je całym sercem - tak jak krzyżyk, który nosił na szyi Juan.

Cholera. Niecierpliwie odgarnęła włosy z twarzy. Czemu ciągle wraca do niego myślami?

Bo jest głupią kobietą zachowującą się jak nastolatka.

Spojrzała na zegarek i przekonała się, że pora na obiad. Juan.

Wkrótce zniknie z jej życia, stwierdziła, jadąc w kierunku domu z włączonym radiem. Dwie piosenki później dotarła do drzwi i ruszyła do kuchni. W lodówce znalazła obiad przygotowany przez starszą kobietę: kanapkę z szynką i serem, sałatkę z makaronem i owoce. Gdzie Caco? Pewnie prasuje ubrania w pralni. Kiedy skończy około drugiej, pójdzie obejrzeć swój ulubiony serial. Lourdes, z jedzeniem na talerzu, skierowała się do jadalni. I stanęła w drzwiach jak wryta, widząc Juana siedzącego przy stole z Amy, Niną i Paige.

Bliźniaczki zajmowały miejsca po obu jego stronach. Cała trójka rysowała zawzięcie w książeczkach do kolorowania. Amy usadowiła się naprzeciw i coś szkicowała.

W wypranych dżinsach, bosi i bez koszuli, mężczyzna wyglądał jak rozbójnik o złotym sercu. Ogolił się i umył, wilgotne włosy odgarnął z czoła.

Nina obróciła się na krześle i zauważyła Lourdes.

- Cześć, mamó.

- Cześć, maleńka.

- Rysujemy.

- Widzę.

Paige również odwróciła głowę i uśmiechnęła się szeroko.

Dziewczynki wyglądały na uszczęśliwione towarzystwem wielkiego, silnego mężczyzny. Amy spojrzała przyjaźnie, Juan uśmiechnął się jednym kącikiem ust. Rozcięcie zaczęło się goić, opuchlizna prawie zniknęła.

*Pocałujesz mnie?*

Lourdes podeszła do stołu.

- Patrz, mamó. - Nina podsunęła jej książeczkę. - Juan pomalował tej pani włosy na zielono.

Mężczyzna bronił się z tym swoim krzywym uśmiechem.

- Sama kazałaś mi to zrobić - zwrócił się do dziewczynki. - A ty, mała paskudko - zwrócił się do drugiej bliźniaczki - chciałaś, żebym jej pomalował ręce na czerwono, a nogi na różowo.

Paige nie zaprzeczyła, spojrzała tylko na niego sarnimi oczami. Lourdes uświadomiła sobie, że jej cicha córeczka już się zakochała w Juanie. Więc jest ich już dwie. Tylko że miłość dziewczynki nie była



nawet w połowie tak gorąca jak ta, z którą walczyła Lourdes. Nic dziwnego. Mała miała dopiero cztery lata

- Piękny obrazek - pochwaliła całą trójkę. - Warto by go oprawić w ramki i powiesić na ścianie.

- Też tak uważamy - zgodził się Juan. Na moment ich oczy się spotkały.

- Nie mogę się nadziwić, że już wstałeś - zwróciła się do niego.

- Nie znoszę leżeć beczynnie w łóżku. Poza tym czuję się lepiej. Przestałem widzieć wszystko podwójnie. - Popatrzył na bliźniaczki. - No, może czasem.

Dziewczynki zachichotały. Lourdes podziwiała jego podejście do dzieci. Może miał kilkoro własnych. Oraz wierną żonę, która za nim tęskni.

Ugryzła kanapkę. Więc wydaje jej się pociągający? No i co z tego? Nawet gdyby był wolny, nic by z tego nie wyszło. Lourdes nie uznawała romansów.

Amy, która milczała do tej pory, zamknęła szkiełko i wstała.

- Przyniosę sobie puddingu i zobaczę, co jest w telewizji.

- Możemy też wziąć sobie puddingu i pooglądać telewizję? - spytała Nina.

Zawsze wypowiadała się w imieniu obu bliźniaczek. Dzisiaj miały na sobie identyczne podkoszulki i włosy związane w kucyk. Zawsze domagały się takich samych ubrań i ozdób. Jeśli Nina zażyczyła sobie czerwonej wstążki, Paige też taką chciała. Jeśli Paige

wybrała w sklepie lawendową sukienkę, Nina dochodziła do wniosku, że to także jej ulubiony kolor.

Lourdes pozwoliła im iść z Amy i cała trójka zniknęła, zostawiając ją samą z Juanem. Zapadła niezręczna cisza.

Kobieta nabrała na łyżkę sałatki. Mężczyzna zaczął zbierać kredki i wrzucać je do plastikowego pojemnika. Zerknęła na krzyżyk na jego szyi. Powinna mu powiedzieć? Wyjaśnić, że ozdoba należała kiedyś do niej?

Nie mogła. Nie teraz, nie tak szybko. Nie była gotowa okazywać emocji ani wyjaśniać, że zdaniem Caco jego przyjazd na ranczo nie był przypadkowy.

- Jadłeś obiad? - spytała zamiast tego.

- Caco ugotowała zupę. Zjadłem z dziewczynkami. -Przyjrzał się uważnie złamanej kredce. - Przepraszam, jeśli mówiłem jakieś dziwne rzeczy. Wtedy, kiedy mąciło mi się w głowie.

- Nic nie mówiłeś - rzuciła obojętnie. Lecz przecież mówił. Mówił wiele dziwnych rzeczy. Że była jego snem, że jest śliczna. - To znaczy, nic się nie stało. Nie wiedziałeś, co mówisz.

Dzisiaj jednak wydawał się skupiony, całkowicie świadomy otoczenia. Choć wyglądał też na zmęczonego.

- Jesteś gotowy do rozmowy z policją? - zapytała.

- Żeby zapytać o osoby zaginione w ostatnim czasie? Nie, nie jestem. Wolałbym najpierw odzyskać pamięć. Caco twierdzi, że moja amnezja niedługo minie.

- Juan, prawdopodobnie ktoś się o ciebie zamartwia. Na pewno masz gdzieś rodzinę. - Czy zdoła to powiedzieć? - Żonę. Dzieci.

- Nie jestem żonaty - odparł szybko. Czy nie za szybko, zastanowiła się.

- Skąd możesz mieć pewność?

- Bo czuję pewne rzeczy. Wiem, że nie mam żony. W moim życiu niema nikogo szczególnego. Dzieci też nie mam.

Spoważniał; podejrzewała, że pewne rzeczy, które „wyczuwał”, trochę go niepokoiły.

- Caco mówi, że potrzebuję trochę czasu.

Lourdes sięgnęła po kanapkę. Czy ten mężczyzna celowo nie chce odkryć swojej tożsamości? Ukrywa się przed czymś z przeszłości? A może jedynie próbuje dojść do ładu ze swoim pustym umysłem? Teraz nie była pora na pytania. Na razie pozwoli mu odpoczywać, potem go wypyta.

Bo Lourdes Quinterez ma prawo wiedzieć, kim naprawdę jest Juan Guapo.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Wstała o świcie i poszła umyć zęby. Kiedy zakręciła wodę, usłyszała spierające się głosy - gniewny męski bas i ostry, wysoki głos kobiety. Juan i Caco? Co ich napadło, na miłość boską?

Włożyła szlafrok na koszulę nocną i szybko przyglądała włosy, a potem ruszyła do salonu, skąd dobiegały gniewne okrzyki.

Juan i Caco stali naprzeciw siebie. Ona prychała z irytacji, on wsunął głęboko pięści do kieszeni. Lourdes zauważyła, że był ubrany jak do wyjścia z domu. Miał na sobie rzeczy, w których go znalazły: koszulę z przyszytym rękawem i niedopranymi plamami krwi.

Czyżby zmienił zdanie i zadzwonił do biura szeryfa? Czekał, by ktoś go odwiózł do miasta?

- O co chodzi?- spytała.

Umilkli oboje, nie chcąc się kłócić w jej obecności. Pierwsza odezwała się babka.

- Wyobraża sobie że, doszedł do siebie i pomoże ci dzisiaj w pracy.

Pracować z nią? Skąd mu to przyszło do głowy?

- Czuję się dobrze. - Patrzył nachmurzony. - I pora, żebym zaczął zarabiać na swoje utrzymanie. Odwdzieczył się za opiekę. - Popatrzył na Lourdes. - Caco powiedziała, że brak ci pracowników. Że musiałaś wypożyczyć kogoś z sąsiedniego rancza.

Lourdes nie zdążyła odpowiedzieć. Indianka wtrąciła się natychmiast, spoglądając na mężczyznę zwężonymi oczami.

- Nie mówiłam tego po to, żebyś zaczął odstawiać bohatera.

Ciągle jeszcze jesteś słaby.

- Wcale nie.

- Zataczasz się, jeśli idziesz za szybko albo kiedy się schylasz.

Co będzie, jak się weźmiesz do przerzucania bel siana?

Zaciął się w milczeniu. Więc to prawda, pomyślała Lourdes. Nie czuje się jeszcze całkiem dobrze. Wciąż jest lekko oszołomiony. Caco wskazała go palcem.

- Kto cię przyniesie do domu, jeśli zemdlejesz od upału?

Lourdes? Ja? Narobisz tylko kłopotów, jeśli się znowu rozchorujesz.

Juan, pokonany, w milczeniu zwiesił głowę. Bitwa zakończona, stwierdziła Lourdes, a zwyciężczynią została Caco.

Starsza kobieta przybrała dumną pozę - ręce na biodrach, wysunięty podbródek. Juan został jednym z jej podopiecznych i teraz również ten wielki, silny mężczyzna musiał się nauczyć, gdzie jego miejsce.

- Więc kiedy będę mógł zacząć pracę? - spytał teraz. - Nie mogę dawać się niańczyć całe życie.

- Nikt cię nie niańczy.

- Akurat.

- Porozmawiamy za parę dni. Ale do tego czasu nie chcę słyszeć na ten temat ani słowa.

Wyszła do kuchni, skąd wkrótce dobiegło ich szczękanie garnków. Caco nie wyobrażała sobie, by jej podopieczni mogli nie dostać jedzenia. Karmiła ich, czy byli głodni, czy nie.

Lourdes miała ochotę się roześmiać. Zaraz jednak doszła do wniosku, że w zranionej dumie Juana nie ma nic śmiesznego.

- Może powinieneś porozmawiać ze mną - rzuciła.

- Po co? Żebyś ty też zaczęła mną dyrygować? Jakie to typowe dla jego płci: winić wszystkie kobiety za to, że mu nie idą na rękę.

- To na moim ranczu chcesz pracować, prawda? Zwiesił ramiona.

- Nie jestem kaleką. Nie potrzebuję, żeby kobiety karmiły mnie, myły i decydowały, czy potrafię unieść belę siana.

- Nikt cię nie karmi.

- Ale mnie umyłaś - odburknął. - Rozebrałaś mnie do naga.

Lekki dreszcz przebiegł jej po plecach. Pamiętała widok swoich rąk rozpinających mu zamek u spodni.

- Miałaś gorączkę, byłeś brudny i spocony. Co miałyśmy zrobić? Wzruszył ramionami.

- Nie chcesz, żebym pracował na ranczu?

- Może. Ale nie dlatego, że brak ci sił. - Nie wyglądał na słabeusza.

- Więc o co ci chodzi?

- O to, że nie chcesz się zgłosić na policję.

- Wyjaśniałem już, dlaczego. I co to ma wspólnego z robotą na polu? Chcę się odwdzięczyć za opiekę. Nie oczekuję zapłaty. Będę pracował za darmo.

- Przykro mi. Chyba wyraziłam się niejasno.

- Więc wytłumacz, o co ci chodzi, Lourdes. Usiadła obok niego, żałując, że nie ubrała się staranniej, zanim wybiegła z pokoju. Oczywiście miała na sobie szlafrok, ale nie wiadomo czemu nagle przestał się jej wydawać odpowiednim strojem.

Czemu? Bo miała go na sobie, kiedy Juan poprosił, by się położyła obok niego? By go pocałowała?

- Nie chciałam o tym rozmawiać już teraz, ale wczoraj wydawałeś się zaniepokojony swoimi wspomnieniami.

- Myślisz, że celowo coś przed tobą ukrywam?

- A nie ukrywasz?

Przesunął dłonią po włosach. Ciemne pasma spadały mu na kark.

- Nie.

- Świetnie. Więc powiedz mi, co „wyczuwasz” na swój temat.

Powiedz, kim jesteś.

Spojrzał jej w oczy, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Jak ma jej to wyjaśnić? Opisać chaos panujący w jego sercu? Wiedział, że nie był dotąd szczęśliwy, a mieszkając pod jednym dachem z Lourdes i jej rodziną, miał wrażenie, jakby mógł zacząć wszystko od nowa.

Przynajmniej na jakiś czas. Póki wspomnienia nie wrócą falą i nie odzyska dawnej, utraconej tożsamości.

- Juan - przynagliła.

- Dręczyły mnie jakieś problemy - zaczął, czując, że jest jej winien szczerą odpowiedź. - Więc chyba chciałbym się tu zatrzymać na trochę. Wiem, że w końcu będę musiał wrócić do tego, co było.

Nie ukrywam się, Lourdes. Po prostu robię sobie przerwę na odpoczynek.

Wyglądała tak delikatnie i uroczo. Widział kołnierzyk jej koszuli nocnej, różową tasiemkę przy szyi. Nie była klasyczną piękną. Miała niezwykle, egzotyczne rysy: oczy w kształcie migdałów, pełne, zmysłowe usta i długie proste włosy o barwie słońca. Podobała mu się też jej sylwetka: wcięta talia, szerokie biodra. Kobiety powinny mieć krągłe, seksowne biodra, by mężczyzna mógł je pieścić, gdy się kochają.

Dziwne, nie potrafił sobie przypomnieć, by się z kimś kochał. Pamiętał jednak uczucie uniesienia, spełnienia, jakiego dostarcza seks. Nie sądził, by mężczyzna mógł to zapomnieć.

- Dziękuję - odezwała się Lourdes.

Spojrzał na nią, nie rozumiejąc. Rozmyślania i wspomnienia pochłoneły go bez reszty.

- Za co?

- Że mi o sobie opowiedziałeś. O tym, co czujesz. Pełen wyrzutów sumienia, wzruszył ramionami. Nie powinien był myśleć o seksie. Nie teraz.

- Pracowałeś wcześniej na farmie?

- Z pewnością miałem do czynienia z końmi, ale chyba nie jako parobek. Może jakiś mój przyjaciel miał farmę, a ja czasem go odwiedzałem.



Spróbował wyobrazić sobie swoje dawne życie. Jednak myśli znowu zaczęły mu się plątać, usiłował- więc odzyskać panowanie nad sobą.

- Znam się na koniach i umiem na nich jeździć. Dam sobie radę.  
- Tego był pewien. - Umiem pracować, Lourdes. Nie będę dla ciebie ciężarem.

- Naprawdę potrzebuję robotnika. I nie pozwolę ci pracować za darmo.

- Więc mnie najmij. Jeżeli się nie sprawdzę, zawsze będziesz mogła mnie wyrzucić.

Roześmiała się.

- Czemu nie? Skoro jesteś taki chętny. - Jej szlafrok rozchylił się nieco przy szyi. - Dostaniesz pensję, zakwaterowanie w baraku i posiłki razem z nami - dodała po chwili namysłu. - Caco i tak będzie się upierać, żeby cię karmić.

Brzmiało to dla niego idealnie. Emocjonalne wsparcie, którego rozpaczliwie potrzebował.

- A skoro mowa o jedzeniu - pociągnęła nosem - to założę się, że śniadanie gotowe.

- Od kiedy zaczynam?

Poprawiła szlafrok.

- Kiedy Caco uzna, że dasz sobie radę. Lepiej się ubiorę, zanim zawoła nas do stołu.

Patrzył za nią, gdy wychodziła, i rozmyślał o tym, jaka jest piękna.

Następnego dnia wieczorem zapukała do jego drzwi.

- Proszę - zawołał.

Leżał na łóżku z podciągniętymi kolanami. Nie miał koszuli, na szerokiej piersi widniały blednące zadrapania i sińce.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - odezwała się, widząc, że mężczyzna przegląda jakiś magazyn.

- Żartujesz? Robię co mogę, żeby nie umrzeć z nudów.

Pokazał jej okładkę. Czytał jedno z prenumerowanych przez nią pism kobiecych. Stłumiła uśmiech.

- Dowiedziałeś się czegoś ciekawego?

- Jasne. Jakie są najmodniejsze fryzury, jak znaleźć idealnego mężczyznę; jaki makijaż będzie obowiązywał tej jesieni.

- Nie znalazłeś nic innego do czytania?

- Amy chciała mi pożyczyć książkę o Buffy, postrachu wampirów.

Lourdes podobało się jego poczucie humoru, chłopięcy uśmiech błakający mu się po wargach. Usiadła na skraju łóżka i postawiła torbę ze sprawunkami na szafce nocnej.

- Będziesz niezwykle wykształcony.

- No. Bliźniaczki zlitowały się nade mną i dały mi swoją kolekcję bajek. - Wskazał głową torbę. - Byłaś na zakupach?

- Tak.

- Kupiłaś coś do czytania? Ostatni numer „Sports Illustrated”? Albo może świeżutkiego „Playboya”? Coś, co zainteresowałoby faceta?

- Bardzo śmieszne. A „Playboy” nie służy do czytania.

- Ależ tak.

- Ależ nie.

Uśmiechnął się szelmowsko i poruszył brwiami. Ze swoimi ciemnymi włosami i sińcami na twarzy wyglądał -jak ostatni drań.

Lourdes sięgnęła po torbę.

- Kupiłam ci trochę ubrań. Parę drobiazgów.

- Ubrań? - Wytrzeszczył oczy. - Po co?

Pociągnęła za pasek jego spodni.

- Ponieważ masz tylko jedną podartą koszulę i spodnie.

- Ale nie powinnaś była wydawać na mnie pieniędzy.

- Więc udawajmy, że to twoje urodziny. - Wręczyła mu torbę. -

Przyjmij je i powiedz dziękuję.

- Oddam ci pieniądze.

Rozpakował pakunki i wyjął kupione przez nią dzinsy, koszule i skarpetki. Z uznaniem spojrział na buty, lecz widok bokserek sprawił, że uśmiechnął się szeroko.

Tego się nie spodziewała. Nagle poczuła lekkie onieśmienie, że siedzi tuż obok, podczas gdy on ogląda otrzymaną bieliznę.

- Jeśli ci się nie podobają, to je oddam.

- Podobają mi się. - Spoważniał. - Dziękuję, Lourdes.

- Nie ma za co.

Zauważyła, że przeoczył jedną paczkę. Może nie powinna nic mówić. Może. Za późno.

- Kupiłaś mi wodę kolońską?

Był to jej ulubiony męski zapach, dym i egzotyczne przyprawy. Pomyślała, że będzie pasował do mrocznej urody Juana.

- Tak. I nie chcę, żebyś mi oddawał pieniądze. Nie za ubrania i zwłaszcza nie za wodę.

Nie wiedział, jak się zachować. Prezenty wydawały się tak osobiste, intymne, zmysłowe. Czy powinien otworzyć buteleczkę? Powąchać? Zastanawiał się, co ją skłoniło do kupienia markowego kosmetyku. Wiedział, że brakuje jej pieniędzy. Caco wspomniała, że ranczo tonie w długach.

- Dzięki - wykrztusił skrepowany. - To bardzo miło z twojej strony. Wszystko bardzo mi się podoba.

- Nie ma za co.

Skrzyżowała ręce na kolanach; zapadła niezręczna cisza. Co teraz? Odwrócił wzrok i zerknął na stosik ubrań. Ciekawe, skąd znała jego rozmiar, pomyślał, i zaraz sobie uświadomił, że musiała zobaczyć metki, kiedy go rozbierała.

Naprawdę napadł na nią o to wczoraj? Który mężczyzna przy zdrowych zmysłach krzyczałby na kobietę, że zrobiła coś takiego? Podniósł wzrok i przyłapał Lourdes na tym, że się mu przygląda. Tego dnia splotła włosy w warkocz, odsłaniając pięknie zarysowane policzki, głęboko osadzone oczy, kuszące usta...

- Jutro mogę cię oprowadzić po ranczu, jeśli Caco pozwoli ci wyjść z domu.

- Czuję się świetnie.

Wstał, żeby schować ubrania, wdzięczny, że przerwała jego rozmyślenia. Lourdes przechyliła głowę.

- Ciągle się zastanawiam, w jaki sposób trafiłeś do mojej stodoły. Czemu mieliby cię obrabować właśnie tam? Co robiłeś? Szedłeś sobie tak po prostu polną drogą? To nie ma sensu.

- Wiem. - Też o tym myślał.

- Musieli ci ukraść samochód.

- Tak się wydaje.

Pewnie pobili go do nieprzytomności, a potem wyrzucili z wozu niedaleko rancza Lourdes, sądząc, że nie żyje. -I w pewnym sensie był martwy. Przynajmniej chwilowo. Przybrał nowe imię, porzucając dawną tożsamość. Dranie zrobili mu przysługę. Chwilową.

Poczuł wyrzuty sumienia. A jeśli napadli też na kogoś innego? Gdyby się zgłosił na policję, być może pomogłoby to ująć napastników. Nie mógł tego zrobić. Nie mógł odrzucić tożsamości, którą otrzymał od Lourdes. Lubił być Juanem.

- Niedługo wszystko sobie przypomnę.

A wtedy będzie musiał opuścić schronienie, jakiego mu udzieliła. Popatrzył na nią; uśmiechnęła się pocieszająco. Już w tym momencie zaczął za nią tęsknić.

Jechali półciężarówką przez płaską okolicę urozmaiconą gdzieś kępami drzew. Czy pochodził z południowego Teksasu? A może tylko tędy przejeżdżał, gdy go napadnięto?

Lourdes zaparkowała obok największej stodoły. Wysiedli z wozu i zaczerpnęli rześkiego jesiennego powietrza. Był słoneczny

dzień w początkach września. Popołudnie okazało się gorące, wokół unosił się zapach siana i koni. Po padoku przechadzały się spokojnie klacze i źrebięta. Większość skryła się w cieniu, lecz jeden rozbrykany młodzik bawił się piłką, popychając ją nosem.

Stodoła był to wielki, solidny budynek, dzielnie stawiający czoło czasowi. Mimo to odcisnął on na nim swój ślad.

- Zbudował ją mój dziadek - wyjaśniła Lourdes. - Przyjechał do Ameryki z Ekwadoru na studia, potem poznał moją babcię i postanowił zostać na dobre.

- Nie wiedziałem, że masz południowoamerykańskie korzenie.

Tak wielu rzeczy o niej nie wiedział. Lecz chciał się dowiedzieć wszystkiego, czym Lourdes zgodzi się z nim podzielić.

- Stąd się wzięło nazwisko Quinterez.

- To twoje panięskie?

Sądził, że należało do jej męża. Mężczyzny, który zginął, zanim zdążyła się z nim rozwieść.

- Caco ci nie powiedziała?

- Nie mówi mi wszystkiego.

- Ale wspomniała o kłopotach finansowych, prawda?

Skinął głową. Nadal miał zamiar oddać Lourdes pieniądze za zakupy i upierać się, by mu nie płaciła. Przypuszczał, że będzie chciała mu dać gotówkę. Juan Guapo nie miał numeru ubezpieczenia ani zielonej karty. Nie istniał oficjalnie.

- Odziedziczyłam ranczo po dziadku - podjęła opowieść. - Już wtedy miałam kłopoty. Ale zanim umarł, obiecałam, że ocalę to, co zbudował. Że doprowadzę farmę do rozkwitu.

- To miłe miejsce.

- Tak, ale bardzo zniszczone, a jego utrzymanie pochłania masę pieniędzy.

- Więc brak ci kapitału, by je postawić na nogi?

- Właśnie. Zawsze mieliśmy wspaniałe żrebaki. Jestem ogromnie dumna ze swoich koni, i w pełni na to zasługują. Ale bez względu na to, ile roczniaków uda mi się sprzedać, nigdy nie mam dość pieniędzy. Zawsze zostaje jakiś niezapłacony rachunek albo dług.

Bardzo ci współczuję. Widział, że ranczo jest dla niej wszystkim. Gdyby je straciła, utraciłaby część własnej duszy. Lourdes westchnęła.

- Większość pracy wykonuję sama. Trenuję żrebięta i roczniaki, opiekuję się klaczami, prowadzę księgowość, kupuję zapasy i pomagam przy naprawach robotnikowi. Ale nawet mimo to muszę opłacać paru ludzi: weterynarza, kowala i tak dalej.

Odwróciła się, by na niego spojrzeć.

- Chcesz zobaczyć, gdzie będziesz mieszkał?

- Jasne.

Zaprowadziła go do długiego budynku złożonego z trzech oddzielnych pomieszczeń. Poszukała w kieszeni kluczy.

- Kiedyś miałam więcej robotników. W dwóch pomieszczeniach były problemy z kanalizacją, ale teraz to i tak nie ma znaczenia. -

Zaprowadziła go do trzeciego. - To starałam się utrzymać w przyzwoitym stanie. Powinno ci odpowiadać.

Miała rację. Izba była niewielka, ale czysta, z sofą i paroma zniszczonymi szafkami. W niewielkiej kuchni mieścił się nowoczesny piec i duża lodówka. Pod oknem stał dębowy stół. Podobały mu się teksaskie akcenty na ścianach i barwny indiański pled.

- Hector mieszka na sąsiedniej farmie - wyjaśniła Lourdes.

- To ten robotnik, który ci pomaga?

- Tak. Przedstawię cię potem. Pokaże ci, co robić.

- Chętnie zacząłbym już dzisiaj.

Chciał być użyteczny, ulżyć jej we wszystkim.

- Caco jeszcze cię nie uznała za całkiem zdrowego. Umilkli oboje. Lourdes patrzyła przez okno, Juan ukradkiem obserwował jej profil. Francja i Ekwador, myślał. Nic dziwnego, że wydaje się taka egzotyczna.

Zaczepił kciuki o kieszenie. Tego dnia włożył nowe spodnie. Wody kolońskiej jeszcze nie otworzył. Wciąż nie był pewien, czemu kupiła mu tak drogi prezent. Facet do naprawiania płotów i wyrzucania nawozu nie potrzebuje takich zbytków.

- Używasz perfum?- spytał nagle.

Popatrzyła zdziwiona.

- Tak.

- Nawet kiedy pracujesz?

Skinęła głową, przysunął się bliżej. Ujął ją za rękę i powąchał nadgarstek.



- Nic nie czuję.

- Perfumuję się tutaj - wskazała szyję.

Odruchowo schylił się i przechylił głowę. Zapach był delikatny i subtelny, słodki i kobiecy. Jak kwiaty i karmel.

Nagle ogarnęło go pożądanie. Podniósł głowę. Ich twarze znajdowały się o parę centymetrów od siebie. Mógłby ją pocałować.

Nie zrobił tego jednak. Nie przycisnął ust do jej warg. Cofnął się, odkaszlnął.

- Pięknie pachniesz.

- Dziękuję.

Zaczęła się bawić kołnierzykiem; uświadomił sobie, że Lourdes robi to zawsze w chwilach zmieszania. Juan wyobraził sobie, jak przesuwa palcem po delikatnych ściągach, rozpina guziki.

- Czemu kupiłaś mi wodę kolońską?

Wzruszyła ramionami, mężczyzna ściągnął brwi.

- Większą część czasu będę cuchnął potem, nawozem i brudem.

Drogie kosmetyki nic tu nie pomogą.

- Nie myślałam, żebyś ich używał do pracy. - Odwróciła wzrok.

- To był impuls. To mój ulubiony męski zapach. Wydaje mi się bardzo...

- Jaki?

- Sexy.

Kolejna fala pożądania. Lecz kobieta nadal nie patrzyła mu w oczy. Nie mógł jej prosić o wyjaśnienie. Powinien zwyczajnie używać cholernej wody i trzymać gębę na kłódkę.

- Chodźmy, pokażę ci resztę zabudowań - odezwała się w końcu.  
Skinął głową bez słowa i wyszedł w ślad za nią w duszący upał.

Scandalous

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Zakończyli obchód przy stajni dla koni rozplodowych. Była łatwo dostępna dla gości, lecz odsunięta od pozostałych stajni i zagrody do krycia, by konie nie widziały, co się tam dzieje.

- Ranczo założono w latach siedemdziesiątych, ale dom stał tu wcześniej - wyjaśniła Lourdes.

Miała dwa ogiery, oba doskonałej jakości i pochodzące z rodu, który wydał wielu czempionów. Ogiery mogły się widzieć, dzięki czemu zachowywały się spokojniej. Ich zagrody były duże, z przestronnymi wybiegami. Wysoki płot i szerokie przejście między padokami zapobiegały walkom.

Juanowi podobał się szczególnie Raven Wing, czarno--biały koń, silny i muskularny, z idealnymi nogami.

- Doskonale chodzi pod siodłem - zauważyła Lourdes. - Reaguje na każdy ruch.

- Jest niezwykły.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się z dumą. - Caco też tak uważa.

Wśród Komanczów mustangi tej odmiany są szczególnie wysoko cenione. Mogą ich dosiadać tylko najdzielniejsi wojownicy.

- Masz ciekawą rodzinę, Lourdes.

- Ty pewnie też.

Wzruszył ramionami. Nie chciał się zastanawiać nad swoimi krewnymi. Budziło to w nim niepokój, którego przyczyny nie umiałby wyjaśnić. Chcąc się pozbyć napięcia, spojrział na Lourdes, żałując, że

nie może wtulić twarzy w jej szyję i zapomnieć o wszystkim, wdychając delikatny, kwiatowy zapach jej perfum.

Odrzuciła z twarzy falę włosów; poczuł, jak ciepły, zmysłowy wir narasta w dole jego brzucha.

- Opowiedz mi o technice zapładniania - odezwał się nagle.

Zaskoczona, patrzyła na niego chwilę. Zaczepił kciuki o pasek spodni i stanął w swobodnej pozie przeczącej narastającemu w nim napięciu. Szalonemu pragnieniu, którego nie potrafił opanować.

Zmarszczyła lekko brwi.

- Twierdziłeś, że znasz się na pracy na farmie. Z pewnością wiesz wszystko i na ten temat.

Wiedział, lecz nie chciał się do tego przyznać. Nie teraz.

- Nie wstydzisz się chyba o tym opowiadać? - spytał wyzywająco.

- Jasne, że nie. Wychowałam się wśród koni. - Uniosła podbródek. - Zacznę od koni żyjących na swobodzie, a potem opowiem ci o udomowionych.

Przysunął się bliżej, czując się zepsuty do szpiku kości. Lourdes znowu przygładziła włosy. Miodowe pasma otaczały jej twarz i spadały wachlarzem na ramiona.

- Ogier wie, kiedy klacz nadaje się do krycia, dzięki wydzielanym przez nią feromonom i jej prowokującemu zachowaniu. Klacz podchodzi i szczypie go lekko zębami, dając znać, że jest nim zainteresowana.

- Co wtedy robi ogier? - przynaglił Juan.

- Obwąchuje i liże jej boki i nasadę ogona. To go podnieca. Potem pieszczą się, przesuając pyskami po swoich szyjach i grzbietach.

- I co dalej? - nalegał. Była taka słodka, taka naiwna, gdy wyjaśniała każdy detal mężczyźnie znającemu dokładnie cały proces.

- Klacz daje znak, że jest gotowa. Staje z rozstawionymi nogami i uniesionym ogonem. Ogier zwykle podchodzi z boku, by, go nie kopnęła. Jeśli samica nie protestuje, wchodzi na nią i kopulują.

- I to wszystko?

- Tak, po paru sekundach. Ale ogier pozostaje w pobliżu, aż uda mu się ponownie pokryć klacz. Na farmie wygląda to wszystko zupełnie inaczej - mówiła dalej. - Kiedy uzna się klacz za gotową do rozrodu, prowadzi się ją do zagrody. Pęta się ją, żeby nie kopnęła ogiera, i bandażuje się jej ogon. Często zakłada się jej ochraniacze na szyję i boki, jeśli ogier ma skłonności do gryzienia.

Juan zerknął na Raven Winga.

- Ten też gryzie?

- Czasami.

- Trudno go chyba ganić za niecierpliwość. Lourdes podjęła wykład, zdeterminowana skończyć mimo uwag mężczyzny.

Po doprowadzeniu ogiera parze nie pozwala się na zaloty. Byłoby to zbyt niebezpieczne. Ogiera przytrzymuje się, aż osiągnie pełną erekcję. Stajenny obserwuje, czy doszło do wytrysku. Jeśli nie, konia zachęca się, by pokrył klacz jeszcze raz.

Przez chwilę milczeli oboje. Lourdes bawiła się kołnierzem bluzki, Juan wyjął rękę z kieszeni.

- Zbieracie też spermę? - spytał.

- Tak. - Odwróciła wzrok. - To też chcesz wiedzieć?

- Nie. - Chciał ją wziąć w ramiona, całować jej szyję, gładzić jej biodra. - To zostawimy na następną lekcję.

Nie odpowiedziała.

- Lourdes?

- Tak. Na następną lekcję - odpowiedziała cicho.

- Mamo?

Lourdes zamrugła i zwróciła się do Niny siedzącej obok przy stole i jedzącej kolację.

- Tak?

- Czemu się gapisz na Juana?

Serce zabiło jej mocno. Mężczyzna siedział naprzeciw, pochłaniając wielkie kęsy zapiekanki. Podniósł wzrok, słysząc swoje imię; serce Lourdes zabiło jeszcze mocniej.

- Wcale się na niego nie gapię, skarbie.

- Gapisz się. O, tak.

Dziewczynka otworzyła szeroko oczy, naśladowując jej rozmarzone spojrzenie. Lourdes chętnie by się zapadła pod ziemię. Teraz wiedzieli o tym wszyscy: Caco, Amy, Paige i Juan.

Mężczyzna wydawał się lekko zawstydzony, lecz także zadowolony. Uśmiechnął się lekko do niej, po czym wsunął do ust kolejną porcję zapiekanki.

- Caco mówi, że to brzydko się gapić - ciągnęła jej niestrudzona córeczka. - Więc czemu to robisz?

Bo jest fantastyczny, pomyślała Lourdes. Bo czuję się przy nim kobieca i pociągająca.

- Nie wiedziałam, że to robię, skarbie - powiedziała na głos.

Caco uniosła brew ze zdziwieniem, lecz poza tym nikt nie zwrócił uwagi na jej kłamstwo. Amy siedziała pogrążona w, myślach, Paige obserwowała całą scenę, a Juan nie przerywał jedzenia.

- Juan? - odezwała się znowu mała.

- Tak?

- Oglądałeś film o małej syrence?

- Nie. Chyba nie.

- To nasz ulubiony, mój i Paige. Mamy go na kasecie. Chcesz z nami obejrzeć po kolacji?

- Jasne. - Uśmiechnął się do dziewczynki, wdzięczny, że znalazła nowy temat rozmowy. - Jeśli twoja mama pozwoli.

Lourdes włączyła się szybko.

- Dobrze, ale wcześniej dziewczynki muszą się umyć i przebrać w piżamki.

Wiedziała, że bliźniaczki zasną przed końcem kreskówki.

- Ty też możesz obejrzeć, mamo - pozwoliła Nina wspaniałomyślnie, dając do zrozumienia, że obie z Paige nie zamierzają sobie przywłaszczyć Juana na wyłączność. Nie mogła ich za to winić. Wiedziała, jak bardzo ich małe serduszka tęsknią za towarzystwem mężczyzny.

Po kolacji Caco zaofiarowała się, że przypilnuje dziewczynek przy myciu, a Juan obiecał pomóc Lourdes sprzątać ze stołu. Amy, jak przystało na typową nastolatkę, wymknęła się do siebie i zawisła na telefonie.

Sami w kuchni, razem zabrali się do roboty. Mężczyzna znosił talerze, Lourdes je płukała. Gdy jednak otworzyła zmywarę, okazało się, że w środku pełno jest umytych wcześniej naczyń.

- Pewnie Caco zapomniała ją opróżnić.

Wyjęła talerze i stając na palcach, próbowała otworzyć szafkę nad kuchenką, by je schować. Juan podszedł do niej od tyłu.

- Pozwól mi to zrobić.

- Dam sobie radę. Potrafię.

Nachylił się do niej i nagle nie mogła wykrztusić słowa. Nie mogła oddychać. Nie mogła myśleć. Stała na czubkach palców niczym figurka baletnicy, czekająca, by ktoś nakręcił pozytywkę.

Trwali tak długą chwilę. Żadne nie ośmieliło się powiedzieć słowa. Było jasne, że mężczyzna pragnie jej równie mocno, jak ona pragnie jego. W końcu się cofnął; drżała na całym ciele.

Co teraz? Powinna się do niego odwrócić? Udawać, że nic się nie stało?

Staneła z nim twarzą w twarz. Patrzyli na siebie bez słowa.

*Czy położysz się przy mnie? Czy mnie pocałujesz?* Tak, pomyślała. Tak.

Wsunął ręce do kieszeni; ona opasała się ramionami, zakrywając piersi.



- Trzeba dokończyć sprzątanie - powiedział po długiej chwili.

Skinęła głową. Będzie bezpieczniej, jeśli każe mu się przeprowadzić do baraku dla pracowników. Znacznie, znacznie bezpieczniej.

Dziewczynki rozesłały koc na podłodze i kazały Juanowi położyć się obok nich przed telewizorem, z nosem praktycznie przyklejonym do ekranu. Obie miały na sobie różowe piżamki i pachniały popcornem oraz mydłem o zapachu jabłkowym. Kiedy film się zaczął, przytuliły się do mężczyzny z obu stron, sprawiając, że poczuł się bardzo ojcowsko.

Lourdes zwinęła się w kłębek na kanapie, choć widziała film pewnie z tysiąc razy. Uśmiechnęła się do Juana; w tej spokojnej, niemal intymnej chwili wydawali się jak jedna rodzina. Nie byli jednak rodziną, przypominał sobie. Jest w tym domu jedynie gościem.

Skupił się na oglądaniu. Dziewczynki znały dialogi i piosenki na pamięć. Nina opowiadała mu z wyprzedzeniem każdy zwrot akcji, a Paige drżała za każdym razem, kiedy pojawiała się morska czarownica. Juan podejrzewał, że historia zakończy się szczęśliwie, zanim jednak do tego doszło, dziewczynki zasnęły. Pomyślał, że doskonale się składa. Nie chciał się rozkleić przed głupią kreskówką. Obrócił głowę do Lourdes.

- Chyba trzeba je już położyć. Pomogę ci je zanieść do łóżek.

- Dzięki.

Wstała i schyliła się po Ninę, pozostawiając mu Paige.

Dziewczynka poruszyła się w jego ramionach, lecz się nie

przebudziła. Nina podniosła główkę z ramienia swojej mamy, uśmiechnęła się do niego nieprzytomnie i zasnęła z powrotem. Wrażenie, jakby byli rodziną, powróciło. Tym razem mu się poddał.

Pokój dziewczynek był różowy jak ich piżamki, wszędzie wokół leżały rozrzucone lalki i inne zabawki. Nagle widok wydał mu się znajomy.

To nie miało sensu. Chyba że... Może w jego życiu była jakaś mała dziewczynka? Córka? Niemożliwe. Wiedział, że nie ma dzieci. Więc może siostra?

Tak, pomyślał. Mała siostrzyczka.

Podniósł koldrę i ułożył małą na posłaniu, po czym otulił ją starannie. Pogładził ją po główce, podczas gdy w pamięci wirowały mu strzępy wspomnień: lekcje tańca, przyjęcia urodzinowe, suknia na bal maturalny.

Jego siostrzyczka nie była już dzieckiem, lecz młodą kobietą.

I nie żyła.

Patrzył, jak Lourdes układa Ninę. Pocałowała obie bliźniaczki.

Jego siostra utonęła. Pochłonęła ją ciemna, lodowata rzeka. Nie chciał sobie tego przypominać, nie chciał przeżywać tego znowu.

Kobieta podniosła wzrok.

- Wszystko w porządku? Skinął z wysiłkiem.

- Posiedzisz ze mną na ganku? - spytał, kiedy zgasiła światło i wyszła z nim na korytarz.

Spojrzała zaniepokojona.

- Na pewno nic się nie stało?

- Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

Wyszli oboje na zewnątrz i usiedli w wyplatanych fotelach. Słońce dawno już zaszło, na niebo wyszły gwiazdy. Dąb rosnący na podwórku Wyglądał w ciemności jak duch, w powietrzu unosił się zapach pól.

- Zaczynam sobie przypominać różne rzeczy. - Spojrzał na nią w półmroku. - Zdaje się, że mam siostrę. Czy raczej miałem. Jestem prawie pewien, że zginęła.

- Bardzo ci współczuję.

- Nie wiem, jak wyglądała. To tylko uczucie. - Ciemna chmura otaczająca jego serce, ciało bez twarzy unoszące się na powierzchni wody. - Nie chcę sobie nic więcej przypominać.

- Nie zdołasz powstrzymać wspomnień. Są częścią ciebie.

- Wiem. - Zamknął oczy. - Caco mnie uprzedzała.

- Chciałabym ci jakoś pomóc.

Pogładziła go lekko po ramieniu. Spojrzał na nią uważnie, chcąc na zawsze wryć sobie w pamięć jej rysy.

- Opowiedz mi o swojej przeszłości - rzucił nagle, chcąc wiedzieć wszystko. Poznać każdy jej sekret. - Opowiedz o ojcu Paige i Niny. Czemu za niego wyszłaś. Czemu się z nim rozwiodłaś. Jak zginął.

- No, dobrze. - Wzięła głęboki oddech. - Nazywał się Gunther Jones i poznałam go w college'u.

- Też studiował?

- On? Skądże. Uważał, że to nie ma sensu. Lubił używać życia. Szybko się nudził, więc ciągle szukał nowych wrażeń.

- I to cię w nim pociągało?

- Chyba tak. Był zupełnie inny niż ja: szalony, agresywny.

Zdobywał to, na czym mu zależało.

Juan przechylił głowę.

- A zależało mu na tobie.

Przytaknęła.

- Życie z nim było jak przejażdżka na diabelskim młynie.

Podniecające, ale i straszne.

Z czasem pewnie coraz straszniejsze, pomyślał.

- I co się stało? .

- Wysłałam za niego zaraz po skończeniu szkoły. - Zacisnęła ręce na kolanach. - Dziadek błagał, żebym tego nie robiła, ale upierałam się, że jestem zakochana. - W jej głosie słychać było wstyd. - Opuściłam farmę i przeniosłam się do Laredo. Zamieszkałam z facetem, który nie umiał utrzymać żadnej pracy.

- Wszyscy popełniamy błędy.

- Wiem. Ale byłam taka głupia. Sądziłam, że uda mi się go zmienić. Że ustatkuje się w małżeństwie. Chyba zawsze byłam naiwna.

Juan zmarszczył brwi i poczuł ukłucie winy. Właśnie dzisiaj wykorzystał tę naiwność przeciw niej. Więc okazał się taki jak Gunther?

- W końcu dotarło do mnie, że mój mąż jest przestępcą, złodziejem i narkomanem. Brał spida, ale wmawiał mi, że jest czysty.

- A nie był?

- Nie. Kradł telewizory i odtwarzacze samochodowe ze sklepu, żeby mieć na towar. - Zaśmiała się z goryczą. - A ja się cieszyłam, że znalazł stałą pracę. Powinnam była się zorientować. Ciągłe zmieniał mi się nastrój. Jednego dnia zdawał się rozdrażniony, drugiego zadziorny.

Nie jestem taki jak on, pomyślał Juan. Nie jestem. Westchnęła.

- Niedługo po tym, kiedy odkryłam, że jestem w ciąży, złapali go na kradzieży. Nie wiedziałam, że już wcześniej siedział. Oszukiwał mnie od samego początku. W każdym razie wtedy właśnie postanowiłam go rzucić. Musiałam myśleć o dziecku. - Jej głos złagodniał. - Dwójce dzieci, jak się dowiedziałam później. Tak czy inaczej wróciłam do domu. Dziadek przyjął mnie z otwartymi ramionami. Juan poruszył się na krześle.

- A jak zginął Gunther?

- Parę tygodni po tym, jak trafił do więzienia, został zabity podczas buntu. Właśnie byłam u prawnika, żeby wnieść sprawę o rozwód. Tak się to skończyło. Teraz mieszkam sama z moimi słodkimi córeczkami.

- Są urocze.

Wyobraził je sobie, śpiące w swoich różowych piżamkach. Nagle ogarnął go nieokreślony niepokój. Ostrzeżenie? Przesłanie? Odsunął od siebie to uczucie, lecz po chwili powróciło. A jeśli

rzeczywiście jest taki jak Gunther? Jeśli jest przestępcą? Głos Lourdes przerwał jego rozmyślenia.

- Dzięki, że tak się mmi opiekujesz. Zakochały się w tobie bez pamięci.

- Ja też je lubię.

- Gunther był wściekły, kiedy się dowiedział o mojej ciąży.

Chciał, żebym ją usunęła. Powiedział, że to niedobra chwila na zakładanie rodziny. Pewnie się obawiał, że nie będzie miał na prochy,

- Idiota. - Nie jestem taki jak on, pomyślał znowu. Na pewno nigdy nie złamałem prawa. Jestem zwykłym samotnym facetem lubiącym rodzinę, która go przygarnęła, gdy był w tarapatach. Spojrzał na Lourdes; w tym samym momencie kobieta popatrzyła na niego i uśmiechnęła się.

Piękna ranczerka i jej kochane maleństwa. Mądra stara Indianka i nastolatka żująca bez przerwy gumę. Domowe posiłki, wspólnie spędzany czas i oglądanie filmów o syrenkach.

Moja szansa, by docenić życie i przeżywać każdy dzień tak, jakby miał być ostami.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Lourdes w towarzystwie Cindy O'Neil, przyjaciółki z college'u, stała obok stodoły, osłonięta przed wiatrem. Koleżanka przyjechała namówić ją na wypad do miasta, w tej chwili jednak obie obserwowały ukradkiem pracującego Juana, pozerając go wzrokiem niczym dwie spragnione seksu podglądaczki.

- Nic dziwnego, że nie chcesz się stąd ruszać - zauważyła w końcu Cindy. - Nie brak ci rozrywek w domu.

- My nie... on nie... - zająknęła się Lourdes. - To zwykły pracownik.

- Akurat. - Cindy potrząsnęła kasztanowymi lokami. Wysoka i smukła, miała figurę modelki i apetyt seksualny syreny. - Popatrz tylko na to ciało, na te mięśnie, te...

Lourdes trzepnęła ją po ręce.

- Nie zaczynaj.

- Czego?

Chwilę później Juan obrócił się, oparł o płot i napił się wody z butelki. Cindy zaśmiała się. - Co na to poradzę? Umieram z pragnienia na widok tego gościa. - Spoważniała i popatrzyła na Lourdes z niepokojem. - A serio, lepiej bądź ostrożna. Na kilometr widać, że to nie żaden tam grzeczny chłopiec. Raz już się sparzyłaś.

- On nie jest taki jak Gunther.

- Na pewno? - Cindy wysunęła biodro. - A skąd te wszystkie sińce?

Lourdes nie dała się zbić z tropu.

- Został napadnięty.

- Tak ci powiedział? Ja bym obstawiała bójkę w barze.

- Nie widziałaś go, jak się odnosi do bliźniaczek. - Za każdym razem, gdy go widziała w zabawie z dziewczynkami, robiło jej się ciepło koło serca. - To dobry człowiek.

Przyjaciółka zatrzepotała rzęsami.

-Ojoj!

- Co to ma znaczyć?

- Zadurzyłaś się w nim, skarbie.

- Wcale nie - skłamała.

- A właśnie, że tak.

- No i co z tego? Nikomu to nie szkodzi. Moja rodzina go uwielbia.

Nie potrafiła się powstrzymać, by go nie pragnąć, nie wyobrazić sobie, jak by to było go całować, przesuwając palcami przez jego włosy,

- Będą z tego kłopoty.

Lourdes pomyślała to samo, gdy go zobaczyła po raz pierwszy.

- Przesada.

Cindy uniosła brwi.

- Czemu się tak bronisz? Coś przede mną ukrywasz? -Nic.

Wszystko, pomyślała. Nie zamierzała wyjawiać prawdy, Cindy nie musi wiedzieć, że mężczyzna nie nazywa się Juan Guapo, że zjawił się znikąd, półprzytomny, z krzyżykiem Lourdes na piersi.

- Jest uczciwy, pracowity i słowny.



- Jasne. A do tego wielki, silny i wygłodniały. To zawsze oznacza problemy.

- Wygłodniały?

- Ma na ciebie ochotę, głupia.

Po plecach Lourdes przebiegł dreszcz. Nagły, gorący i zmysłowy.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Czuję to.

Lourdes odwróciła wzrok. Więc to takie widoczne? Jasne, że tak. Juan był pochłonięty pracą, lecz jego uwaga bez chwili przerwy była skupiona na niej. Nic dziwnego, że Cindy coś wyczuła.

- Jest dobry dla dziewczynek - powtórzyła.

- I za to go podziwiam. - Cindy wypuściła balon z gumy. - Ale jak długo tu zostanie?

- Nie szukał pracy na stałe. To tymczasowe rozwiązanie.

- I odpowiada ci?

Czy jej odpowiada? Dwa dni temu wyprowadził się do baraku i już za nim tęskniła. Co będzie, jeśli Juan wyniesie się na dobre? Kiedy nie będzie już oglądał filmów z dziewczynkami i rozmawiał z Amy o wampirach? Prawił Caco komplementów?

- Tak-

- No to doskonale. Na pewno nie zmienisz zdania, jeśli chodzi o wyjście?

Lourdes pokręciła głową.

- Znasz moją opinię o barach.

- Saddlebag to nie bar, tylko legenda.

Miejsce przypominające Lourdes czasy, gdy była młoda i głupia, gdy kochała mężczyznę niewartego jej uczucia. Cindy zerknęła ukradkiem na Juana.

- Założę się, że on też upił się tam parę razy. Prawdę mówiąc - dodała po namyśle - wygląda mi nawet znajomo. Chyba go widziałam na mieście.

Czy to możliwe? Czy Juan był w poprzednim życiu pijakiem? Playboym z Mission Creek? Niemożliwe. To nie pasuje do jego charakteru. Poza tym Lourdes była przekonana, że mężczyzna nie pochodzi z tych stron. Jej zdaniem był tu przejazdem, gdy go obrabowano.

- Jak to możliwe, żebyś zapomniała faceta tak przystojnego jak Juan? - zaatakowała. - Albo go widziałeś w Saddlebag, albo nie.

Przyjaciółka westchnęła.

- Jak poznasz jednego z tych opalonych, muskularnych kowbojów, zdaje ci się, że znasz ich wszystkich. Mogłam się pomylić.

I z pewnością się mylisz, pomyślała Lourdes.

- Znowu wyglądasz mi niewyraźnie, skarbie. Jesteś pewna, że ten twój nowy parobek to taki porządny gość, jak mnie zapewniasz?

W głębi duszy Lourdes chciała w to wierzyć: że życzliwość i uczciwe zachowanie Juana świadczą na jego korzyść. Ale skąd mogła wiedzieć na pewno? Pod wieloma względami nadal pozostał kimś obcym.

Parę godzin później siedziała obok niego na ławce i jadła lunch, który przygotowała dla nich Caco. Zwykle wracała na posiłek do domu, lecz tego ranka babka wcisnęła jej do rąk kosz piknikowy, oświadczając, że pogoda jest piękna, więc mogą zjeść na dworze.

Słońce nadal świeciło jasno, lecz upał zelżał. Lourdes ugryzła kanapkę, rozmyślając o słowach Cindy.

Czy Juan jest tak uczciwy, jak się wydaje? Z krzyżem na piersi i niesfornymi czarnymi włosami wyglądał jak anielski wojownik.

- Wszystko w porządku? - odezwał się do niej. Przełknęła kęs, który miała w ustach.

- Czemu miałoby nie być?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Wydajesz się zamyślona.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc odwróciła wzrok.

- Sprawilem ci czymś przykrość?

Obserwował ją z niepokojem. Z trudem pohamowała pragnienie, by go pogłodzić po policzku, poczuć ciepło jego skóry.

- Nie, to nie twoja wina.

Słowa Cindy znowu zabrzmiały jej w uszach. Lepiej bądź ostrożna. Na kilometr widać, że to nie żaden tam grzeczny chłopiec.

Lourdes pokruszyła resztki kanapki i rozsypała je dla ptaków.

- Często pijesz?

Popatrzył na nią zdziwiony.

- Czemu pytasz?

- Tak się tylko zastanawiam.

- Chyba głównie dla towarzystwa. Piwo w weekend, od czasu do czasu szklaneczka szkockiej. A ty?

- Lubię wino do obiadu. - Nie zaczęła tej rozmowy po to, by dyskutować o swoich zwyczajach. - Więc nie jesteś z tych, co to lubią się zabawić? Iść do lokalu i się upić? - Jak robił to Gunther, dodała w myślach. Skrzywił się żałośnie.

- Pewnie z raz czy dwa zdarzyło mi się coś takiego, jak się czymś gryzłem. Jak większości facetów.

- To takie niepokojące - nic o tobie nie wiedzieć. Nie wiedzieć, kim naprawdę jest.

- Jedyne, co ci mogę powiedzieć, to co czuję. - Jego głos stał się ochrypliwy, szorstki i pełen emocji. - Lubię być tutaj, Lourdes. Lubię być z tobą i z twoją rodziną. - Bawił się swoim kubkiem. - Ale jeśli chcesz, żebym odszedł, to tak zrobię. Wystarczy jedno twoje słowo.

Nagle ścisnęło się jej serce. Był taki samotny, taki zagubiony.

- Przepraszam, Juan. Nie chciałam. Lekki wiatr zmierzwił mu włosy.

- Masz prawo niepokoić się moją przeszłością. Cholera, nie znasz mnie przecież zupełnie.

- Wydajesz się dobrym człowiekiem.

- Tak sądzisz? - Uśmiechnął się nieznacznie. - Dzięki. To wiele dla mnie znaczy.

Przez kilka minut jedli w milczeniu. Mężczyzna skończył swoją kanapkę i sięgnął po wafle waniliowe. Pili mrożoną herbatę i

obserwowali pasące się konie. W pewnej chwili zwrócił się w jej stronę całym ciałem.

- Muszę ci coś wyznać - powiedział.

Serce zaczęło jej szybciej bić.

- O koniach. Ja... tego... - przeczesał palcami włosy i szarpnął je niecierpliwie. - Wiedziałem, jak się odbywa krycie.

- I mimo to kazałeś mi o tym opowiadać. -I w trakcie rzucał głupie komentarze. - Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś.

- Wiem. Przepraszam.

Miała ochotę go uderzyć, lecz widząc gojące się otarcia i sińce, zmieniła zdanie.

- Zrobiłeś ze mnie idiotkę.

- Nie miałem takiego zamiaru.

- Och, doprawdy? Więc co chciałeś osiągnąć?

Skrzywił się jak dziecko, jak chłopiec przyłapany na oglądaniu zdjęć rozebranych kobiet. I nagle zrozumiała. Chciał się podniecić, posłuchać jej, gdy mówi o seksie. Teraz naprawdę miała ochotę go pobić.

- Przepraszam - powtórzył.

- Jesteś zboczony?

- Hej, to niesprawiedliwe. - Znowu przeciągnął ręką po włosach.

- Tkwię na samotnej farmie z piękną kobietą. Nic dziwnego, że zaczynam myśleć o takich sprawach.

Znowu poczuła ciepły, łaskoczący prąd przepływający jej po plecach. Miała ochotę ze złości kopnąć sama siebie. Nie pozwoli mu wygrać. Nie tym razem.

- Więc pewnie wiesz też, w jaki sposób zbiera się nasienie?

- Tak, wiem. Proszę, zapomnijmy o tamtej rozmowie.

Zapomnieć i wybaczyć? Mowy nie ma. Nie zamierzała mu przepuścić.

- Może powinnam sprawdzić twoją wiedzę. Może powinieneś mi opisać całą procedurę. Ze wszystkimi szczegółami.

Skrzyżował ramiona.

- To bez sensu.

Uśmiechnęła się.

- No, coś ty, nie psuj zabawy. Daj dziewczynie trochę rozrywki.

- Daj spokój, Lourdes.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Naprawdę nie chcesz porozmawiać o tym, jak się uczy ogiera kryć sztuczną klacz? Albo jeszcze lepiej, jak się wprowadza jego penis do sztucznej.

- Okej, wystarczy. - Zaczerwienił się. - Osiągnęłaś swój cel. Muszę wracać do pracy.

Kiedy odszedł, uświadomiła sobie, co właśnie zrobiła. Nagle chciała go zawołać, przeprosić, lecz nie wiedziała, co powiedzieć. Zawstydziała go, ukarała za to, że mu się podoba. Mężczyznę, który nie pamiętał, kiedy ostatni raz się kochał.

Tego wieczoru, układając córeczki do snu, nie mogła przestać o nim myśleć. Juan nie zjawił się w domu na kolacji, ale nie mogła go winić.

- Mamo? - odezwała się Paige.

Nina już spała, lecz młodsza z bliźniaczek wydawała się zaniepokojona.

- Co, maleńka?

Lourdes przysiadła na brzegu jej łóżeczka. Dziewczynka spojrzała na nią wielkimi, smutnymi oczami.

- Czemu Juan już nas nie lubi?

Pogładziła córeczkę po głowie. Wiedziała doskonale, co czuje Paige. -

- Czemu już do nas nie przychodzi? - Buzia małej wykrzywiła się w podkówkę. - Namalowałam mu obrazek.

Lourdes poczuła skurcz w piersi.

- Nie wiedział o twoim obrazku, skarbie. Dzwonił, żeby powiedzieć Caco, że dzisiaj nie przyjdzie z nami zjeść.

- Czemu?

Przeze mnie, pomyślała Lourdes.

- Dasz mu mój obrazek, mamo?

- Oczywiście, że tak. Zaraz z samego rana.

- Nie. Dzisiaj, zaraz.

Lourdes westchnęła. Kochana Paige.

- Już późno, dziecino.

- Dla ciebie nie. Jesteś duża. Proszę.

- Dobrze. Zaniosę mu.

Dziewczynka wyciągnęła swoje dzieło spod pudełka z grą leżącego na szafce nocnej. Przedstawiało słońce, księżyc i kilka gwiazd.

- Amy mi pomogła.

- Śliczny. - Lourdes widziała wkład nastolatki, ale znaczna część rysunku była pomysłu Paige. Niektóre gwiazdy były większe od księżyca, a słońce miało krzywy uśmiech.

- Myślisz, że Juanowi się spodoba?

- Na pewno.

Zamrugła, by powstrzymać łzy. Co będzie, kiedy Juan odjedzie, wróci do dawnego życia? .

- Dobranoc, mamó.

- Dobranoc, skarbie.

Otuliła córeczkę kołdrą i ruszyła do wyjścia. Mała patrzyła za nią.

- Pocałujesz go?

Serce Lourdes zamarło na moment.

- Co takiego?

- No wiesz, czy go pocałujesz. - Cmoknęła po dziecinnemu, lecz jej ton i spojrzenie były bardzo dorosłe. - Jeśli chcesz, to możesz.

- No, cóż, ja... - Nie spodziewała się, że własna córka będzie jej udzielać pozwolenia na romans z mężczyzną, który się im obu podoba.



- Dorośli na filmach się całują. Mogłabyś za niego wyjść i wtedy zostałaby moim tatą. - Zerknęła na siostrę. - I Niny też.

- To nie takie proste, skarbie. Dorośli nie żenią się tak po prostu. Najpierw muszą się dobrze poznać. - I pokochać, dodała w myślach. I złożyć przysięgę, której niekiedy potem nie dotrzymują. - A teraz zamknij oczka i śpij.

- Dobrze. Ale nie zapomnij dać Juanowi obrazka.

- Dobrze.

Zgasiła światło, zniosła obrazek do salonu i poszukała szarej koperty. Potem stanęła niezdecydowana i zdenerwowana. Powinna zadzwonić wcześniej do Juana? Ostrzec go, że do niego jedzie?

- Lourdes?

Odwróciła się na dźwięk głosu Caco. Starsza kobieta weszła do pokoju w kolejnej ze swoich Workowatych sukienek i z włosami ściągniętymi w kok.

- Idziesz się zobaczyć z Juanem?

- Tak. - Uniosła do góry kopertę. - Dać mu obrazek Paige.

Caco przechyliła głowę.

- Nie widziałaś, jaka była przygnębiona dzisiaj przy kolacji.

- Miałam wiele do przemyślenia. Czy to znaczy, że jestem złą matką? - spytała, czując wyrzuty sumienia.

- Skądże. To znaczy, że jesteś kobietą zainteresowaną pewnym mężczyzną. Tęsknisz za nim.

Lourdes westchnęła.

- Podobnie jak Paige.

- Podobnie jak my wszystkie. - Starsza kobieta poprawiła poduszkę. - Dom wydaje się pusty bez niego.

- Wiem. I to mnie niepokoi.

- Więc o tym nie rozmyślaj, tylko do niego idź.

- Dobrze.

Caco przestała się krzątać.

- Musisz mu powiedzieć o krzyżyku. Dlaczego Juan tutaj trafił;

- Tego też się boję.

Bardziej niż chciała przyznać. Czasem zdawało jej się, że jej pamiątka rodzinna naprawdę należy do mężczyzny, jak gdyby los chciał, by przedmiot do niego trafił. Kiedy indziej chciała odzyskać swoje dziedzictwo.

Caco mruknęła uspokajająco.

- Idź. Zrób, co musisz zrobić. Inaczej wszystko stanie się jeszcze trudniejsze.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Gdy Juan stanął w drzwiach, głos nagle utkwił jej w gardle. Znowu wydawał się mroczny i niebezpieczny. Miał na sobie czarny podkoszulek i džinsy, włosy odgarnął z twarzy, odsłaniając twarde, zdecydowane rysy.

- Lourdes.

Zmusiła się, by nabrać oddechu.

- Cześć.

Wyszedł na ganek. Miała nadzieję, że mężczyzna zaprosi ją do środka, on jednak najwyraźniej postanowił utrzymać między nimi fizyczny dystans, nie chciał jej wpuścić do swojego tymczasowego domu. Nie chciał pozwolić, by zapach jej perfum unosił się w pomieszczeniu, gdzie sypiał. Wiedziała, że dręczy go ich wzajemne przyciąganie.

Czuła to samo. A mimo to nadal chciała być blisko niego, dotykać go, stać się częścią jego życia.

- Co tu robisz? - spytał.

No właśnie, co? Krzyżyk błyszczał na jego piersi. Podejrzewała, że mężczyzna nie zdejmuje go nawet do mycia. Pokazała mu kopertę.

- Paige narysowała to dla ciebie. Prosiła, żebym ci przyniosła.

Wyjął obrazek i zaczął go uważnie studiować w świetle żarówki na ganku. Jego rysy złagodniały, przycisnął rysunek do piersi. Do serca, pomyślała Lourdes.

- Mogę przyjść rano, żeby jej podziękować? - zapytał.

- Oczywiście, że tak. I zostań na śniadaniu. Nic się nie zmieniło.  
- Był mile widziany na każdym posiłku, lecz wiedziała, że Juan nie czuje się już częścią ich rodziny.

- Wszyscy cię uwielbiają.

- Ja ich też. - Starannie schował obrazek do koperty.

- Powieszę go na ścianie.

Lourdes się uśmiechnęła.

- Paige będzie zachwycona.

Mężczyzna uśmiechnął się również. Po chwili jednak uśmiechy zbladły i zapadła niezręczna cisza. Lourdes usiadła na stopniach, zachęcając gestem Juana, by zrobił to samo.

- Przepraszam, że ci to zrobiłem - odezwał się po chwili.

- Ja też przepraszam. Za to, co mówiłam dzisiaj.

- Zasłużyłem sobie.

Lourdes odetchnęła głęboko. Chłodne nocne powietrze pachniało słodko. Widziała zarys stodoły, a dalej kontury zagród.

- Nie chciałam cię wypędzać.

Obrócił się, by na nią spojrzeć.

- Wiem. Ale coś się dzieje między nami, i nie jestem pewien, czy to bezpieczne. Dla nas obojga.

Lourdes wytrzymała jego spojrzenie. Wiedziała, że chodzi mu o ich wzajemną fascynację, seksualne napięcie między nimi.

- Chcę być przy tobie - odpowiedziała. Nie zniosłaby zerwania istniejącej między nimi więzi; przyjaźni, pożądania, uczucia.

- Jesteś pewna? - zapytał.

- Tak.

- Ja też tego chcę. Nie mogłem zrobić nic więcej, niż usunąć się z twoich oczu. Nie oglądać twojej rodziny.

Bo należysz do niej, pomyślała.

- Muszę ci coś powiedzieć. O naszyjniku, który nosisz. Spojrzał zaskoczony.

- Nie rozumiem.

Ona też tego nie rozumiała. Ale musiała to wyjaśnić.

- Należał kiedyś do mnie. Odziedziczyłam go po matce, lecz Gunther zastawił go w Laredo. - Urwała. - Kiedy się zorientowałam, było już za późno, żeby odzyskać pamiątkę.

Juan wzdrygnął się. Jak można zrobić coś takiego? Dotknął krzyżyka, jedynej rzeczy, której mu nie ukradziono, zamknął go w dłoni.

- Jesteś pewna, że to ten sam?

- Tak. Wygląda tak samo i ma napis na odwrocie. **Aby cię chronił.** Juan dobrze znał te słowa. Sądził, że wryto je dla niego, że otrzymał krzyż od kogoś, kto go kochał. Nie wiedział co zrobić, co powiedzieć. Patrzył na nią zmieszany.

- Pamiętasz, skąd go masz?

Pokręcił głową. Nagle poczuł ukłucie w sercu. Krzyżyk nie należał do niego. To nie z myślą o nim wryto pełen miłości napis. Zdjął naszyjnik i podał kobiecie.

- Przykro mi; że Gunther ci go ukradł.

Oczy Lourdes napęłniły się łzami.

- Caco mówi, że to dlatego tu przybyłeś.

- Żeby ci zwrócić krzyż?

- Tak. - Zacisnęła dłoń na pamiętce. - Ale też po to, żebyśmy ci mogły pomóc, kiedy nas będziesz potrzebować.

Czy rzeczywiście ich przeznaczeniem było się spotkać? Poczuję zmieszanie.

- Opowiedz mi o nim więcej. - Wszystko, pomyślał. Każdy szczegół. Chciał poznać kryjącą się za nim historię.

- Najpierw muszę ci powiedzieć o mojej matce. Czemu dała mi na imię Lourdes.

Tak, pomyślał. O mojej dziewczynie ze snu. Przysunął się bliżej.

- Matka miała na imię Gloria. Była piękna. Ciemne włosy, ciemne oczy; łagodna i romantyczna. Cicha, pobożna dziewczyna wierząca w cuda. Fascynowała ją grotta w Lourdes we Francji. Ta z cudownym źródłem.

Juan skinął głową. Pamiętał o tym.

- Wiesz, że niedaleko stąd znajdują się dwie dokładne repliki tego miejsca? - spytała.

- Naprawdę?

- Nie w Mission Creek, ale można tam dotrzeć w ciągu weekendu. Jedno na północy, w San Antonio. Drugie w Rio Grande City na południe stąd. Matka odwiedzała je oba. W końcu wybrała, się na pielgrzymkę do Francji.

-To tam poznała twojego ojca?

- Tak. Był młodym artystą z Lourdes. Przeżyli romans, a w dniu wyjazdu matki ofiarował jej krzyż, który zawsze nosił. Kazał jednak na nim wyryć napis.

- *Aby cię chronił* - podpowiedział Juan.

- Tak. Żeby była bezpieczna w czasie podróży powrotnej.

Teraz już wiem, pomyślał. Znam tę opowieść.

- Zobaczyła jeszcze twojego ojca? - spytał.

- Nie. Pisywali do siebie i dzwonili, lecz miesiąc później zginął w pożarze. Nie mogła mu powiedzieć, że jest w ciąży. Odkryła to dopiero po jego śmierci.

- Tak mi przykro, Lourdes. Oczy miała pełne łez.

- Mnie też. Chciałabym go poznać.

- Jak miał na imię?

- Louis. Był wysoki i jasnowłosy, romantyczny jak matka. Nigdy nie przestała go opłakiwać.

Juan wyobraził ich sobie, młodych i pełnych namiętności.

- Rozumiem już, czemu dała ci na imię Lourdes.

- Zmarła, kiedy miałam dziesięć lat. Pojechała do Francji odwiedzić grób ojca. Chciałam z nią lecieć, ale powiedziała, żebym została z dziadkiem. Że musi to zrobić sama.

- Zmarła we Francji?

- Tak. W katastrofie kolejowej.

Zerknął na naszyjnik, który kobieta wciąż ścisnęła w palcach.

- Nie zabrała ze sobą krzyżyka, prawda?

- Nie. Zostawiła go mnie. Żeby mnie chronił pod jej nieobecność.

Pohamował chęć, by objąć Lourdes i ją pocieszyć.

- Chciałbym zobaczyć tutejsze repliki grotty. Może moglibyśmy pojechać do obu, jak robiła twoja matka. - Umilkł, odetchnął głęboko. Chciał się przekonać, czy miejsca wydadzą mu się znajome, czy był tam już wcześniej. - Moglibyśmy zabrać dziewczynki. Zmówić różaniec za twoich rodziców.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

- Różaniec? Musisz być katolikiem, Juan. Zastanawiał się chwilę. A potem wspomnienie, fragment przeszłości pojawił się nagle w jego myślach.

- Tak - powiedział.

Chodził do spowiedzi, wyznawał grzechy i przyjmował pokutę. Widział siebie przed ołtarzem, odmawiającego modlitwę. A potem obrazy kościoła wypełniły jego głowę. Ubrani na ciemno ludzie o poważnych twarzach. Pogrzeb.

Siostry? Matki?

Dobry Boże, ona też nie żyła.

- Odeszła - powiedział. Lourdes zamrugła.

- Kto?

- Moja matka. Nie pamiętam jej twarzy ani imienia, ale wiem, że zmarła. - Czuł ból straty, łzy, które wypłakał. - Myślisz, że wszyscy nie żyją?

- Och, Juan.



Przytuliła się do niego, otoczył ją ramionami i przyciągnął do siebie. Obejmowali się delikatnie, czule. A kiedy uniosła głowę, pocałował ją.

Smakowała słodko i zmysłowo, tak niezwykle, jak sobie wyobrażał, tak delikatnie jak dziewczyna z jego snu. Rozchyliła wargi, ich pocałunek stał się głębszy. Jego serce biło tuż przy jej sercu. Jego anioł. Jego Lourdes.

- Juan - szepnęła bezgłośnie imię, które mu nadała.

Odchylił się, by na zawsze wyryć sobie tę chwilę w pamięci.

- Chcę cię taką zapamiętać na zawsze.

- Ja też.

Na niebie zabłysła gwiazda, a on wiedział, że to pierwszy raz, gdy czuje się tak silnie związany, tak spełniony w towarzystwie kobiety.

- Zjesz ze mną jutro kolację? - Wskazał na drzwi. - Tutaj, w chacie.

- Tylko we dwoje?

Skinął głową, uświadamiając sobie, że właśnie ją zaprosił na randkę.

- Posiłek przy świecach, odrobina wina, miła rozmowa.

Uśmiechnęła się.

- Brzmi zachęcająco.

On też się uśmiechnął. Potem patrzyli na siebie, nie potrzebując słów. Lekki wietrzyk poruszył jej włosami. Wyglądała tajemniczo w świetle księżyca ze swoją egzotyczną twarzą i długimi rzęsami.

- Lepiej już pójdę - odezwała się w końcu. - Robi się późno.

Odprowadził ją do półciężarówki, którą zawsze jeździła.

Położyła naszyjnik na fotelu obok siebie.

- Nie będziesz go nosić? - spytał. Pokręciła głową.

- Nigdy go nie nosiłam. Zawsze go chowałam w bezpiecznym miejscu.

Skinął głową. Wciąż się zastanawiał, jak wszedł w posiadanie krzyżyka i czemu postanowił go nosić. Czy kupił go w lombardzie? Nie wiedział. Nie pamiętał, by kiedykolwiek odwiedzał Laredo, lecz Mission Creek również nie wydawało mu się znajome.

- Dziękuję, że mi go oddałeś, Juan.

- Nie ma za co.

Włączyła silnik, a on stał i patrzył za samochodem, aż tylne światła zniknęły w mroku. Potem wrócił na ganek i rozejrzał się wokół, ogarniając ciemne sylwetki drzew w oddali, księżyc w pierwszej kwadrze, proste piękno teksaskiej nocy.

Nie, Mission Creek nie wydawało mu się znajome, lecz nagle poczuł się tu jak w domu. W miejscu, do którego należał.

Słońce wpadające przez żaluzje i zapach świeżo zaparzonej kawy obudziły Lourdes. Usiadła przed dębową toaletką i zaczęła czesać włosy, starając się doprowadzić do porządku. Przez całą noc prawie nie zmrużyła oka. Z powodu Juana.

Nie mogła przestać o nim myśleć; wciąż odtwarzała w pamięci ich pocałunek i zastanawiała się, czy tego wieczoru mężczyzna pocałuje ją znowu.

Spojrzała na swoje odbicie, żalując, że nie ma więcej doświadczenia, że nie umawiała się częściej z mężczyznami. Tkwiła na ranczu, unikając spotkań towarzyskich.

Z drugiej strony, pracowała siedem dni w tygodniu. A cenne chwile, gdy nie miała nic do roboty, spędzała z córeczkami.

- Mama!

Drzwi otwarły się i obie dziewczynki wpadły do pokoju Lourdes.

- Zgadnij, co się stało? Juan przyszedł. I zobacz, co zrobił do obrazka Paige. - Nina wskazała trzymaną przez siostrę piękną, rzeźbioną ramkę.

Serce Lourdes zabiło mocniej. Podejrzewała, że mężczyzna pracował przez znaczną część nocy, używając resztek drewna i narzędzi znalezionych w stodole.

- Prawda, jaka ładna? - Paige promieniała jak małe słońeczko.

- Bardzo. - Taka ładna, że Lourdes chciało się płakać.

- A wiesz, co Juan teraz robi? - spytała Nina, i natychmiast wyjaśniła, nie dając jej szansy na odpowiedź: - Dyktuje Caco listę zakupów. Będzie dla ciebie gotował kolację, z deserem i w ogóle. - Podskoczyła z przejęcia. - Caco nawet nie słyszała o takich rzeczach. A Amy mówi, że to fajnie, że on umie gotować takie dziwaczne rzeczy.

- Ojej.

Lourdes jakoś nie przyszło do głowy, że czeka ją rzeczywisty posiłek. Nie sądziła, że Juan ugotuje coś specjalnego. Nie podejrzewała też, że zostanie w to zaangażowana cała rodzina.

- Pośpiesz się, to zobaczysz, co jej kazał kupić.

Za swoją pierwszą wypłatę, uświadomiła sobie. Pieniądze, które dostał za pracę. Upierał się, że zapłaci za ubrania, jakie mu kupiła, a teraz wydawał resztę na ucztę.

Ruszyła za dziewczynkami do jadalni! Juan siedział nad kartką papieru, z kubkiem kawy obok łokcia. Stół był zastawiony do śniadania.

Obok mężczyzny siedziała zaintrygowana Amy, a nad jego ramieniem pochylała się Caco, prychając jak kotka. Juan najwyraźniej opowiadał jej o potrawach, które chciał przygotować. Podniósł wzrok i puls Lourdes przyśpieszył, posyłając drobne fale przez jej żyły.

- Słyszałam, że przygotowujesz listę zakupów - rzuciła na powitanie, mając nadzieję, że zamaskuje tym swoje skrepowanie.

Skinał głową z uśmiechem; wiedziała, że mężczyzna myśli o ich pocałunku. Czułym, słodkim pocałunku.

- Zrobię gnocchi - wyjaśnił. - I biseotti z żurawiną i migdałami.

Lourdes nie знаła tych potraw. Spojrzała na Caco; starsza kobieta zmierzwiła Juanowi włosy.

- On jest Włochem.

- Sono Italiano - potwierdził z przesadnym akcentem, pomagając sobie rękami. - Sycylijszym.

- Naprawdę? - Lourdes wytrzeszczyła oczy. - Od kiedy? To znaczy, kiedy sobie przypomniałeś?

- Dzisiaj, jak zacząłem wymyślać menu. Gnocchi to ziemniaczane kluseczki, a biseotti to moje ulubione ciasteczka.

Lourdes chciała go dotknąć, otrzeć się policzkiem o jego policzek.

- Pamięć ci się poprawia. Coraz więcej sobie przypominasz.

- Fakt. - Zaśmiał się. - Ale tylko Włoch skojarzyłby swoje pochodzenie z jedzeniem.

Ona też się roześmiała.

- Lubisz gotować? Wzruszył ramionami.

- Nie jestem świetnym kucharzem, ale potrafię przyrządzić mięso w sosie.

Próbowała go sobie wyobrazić dorastającego w sycylijskiej rodzinie.

- Powinnam była cię nazwać Mario albo Sonny. Uśmiechnął się szeroko.

- Juan mi odpowiada, bella donna. Jej puls znowu oszalał. Bella donna.

- Piękna kobieta.

- Mogłabyś przyjść do mnie trochę wcześniej? - spytał. -

Pomożesz mi zrobić gnocchi.

- Okej.

Popatrzyli na siebie tęsknie i w tym momencie Lourdes uświadomiła sobie, że obserwuje ich cała rodzina. Zawstydzona,

przygładziła włosy i poszła przynieść kawy. W kuchni oparła się o stół, pełna niecierpliwości, by dzień wreszcie się skończył - by wreszcie nadszedł wieczór.

Scandalous

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kuchnia w domku Juana była niewielka, lecz bynajmniej mu to nie przeszkadzało. Intymna atmosfera tylko dodawała uroku. W powietrzu unosił się znajomy zapach oregano i czosnku, sos pomidorowy, w którym dusiły się mięsne kulki, mrugał na ogniu.

Upiekł już biseotti, kruche ciasteczka zapamiętane z dzieciństwa, i schował je do szczelnego pojemnika. Antipasto złożone z oliwek, pepperocini, salami i sera mozzarella czekało gotowe. Przygotował je, by Lourdes mogła jeść, gdy będą popijać wino i razem sporządzać gnocchi.

Obrócił się, by się do niej uśmiechnąć. Wyglądała delikatnie i kobieco w marszczonej bluzce i drelichowej spódnicy. Włosy spięła luźno na czubku głowy, pozostawiając swobodne pasma wokół twarzy. Wystarczy wyjąć kilka spinek, pomyślał, i rozsypią się swobodnie.

- Nie pij za dużo - ostrzegł. - To tanie chianti szybko uderza do głowy.

Roześmiała się i klepnęła go po ramieniu. - Więc przestań mi ciągle dolewać.

Zatkał butelkę. Chciał, by była trzeźwa, kiedy ją będzie całował, kiedy zamknie ją w objęciach. To nie miało być uwiedzenie, fortel, by ją zaciągnąć do łóżka. Tęsknił, żeby pocałować ją znowu.

Tylko raz.

Spojrzała na stół, gdzie czekała gotowa masa ziemniaczana.

- Powiedz, co mam robić.

- Przygotujemy ciasto.

Ze wszystkich sił starał się skupić na jedzeniu. Dodał mąki, tartego sera, oregano i bazylii i szybko wszystko wymieszał. Podzielili masę na sześć części i z każdej utoczyli gruby na dwa centymetry wałek, a potem pokroili go na niewielkie kawałki.

Juan przysunął się bliżej. Lourdes miała odrobinę mąki na bluzce; wyobraził sobie, jak ją strzepuje, przesuwał dłońmi po piersiach kobiety.

- Co teraz? - zapytała.

- Trzeba je gotować, aż wypłyną.

Czekali razem, podjadając mięso i przekąski. Niedługo potem zasiedli obok siebie przy stole. Juan obserwował uważnie, gdy wkładała pierwszy kęs do ust:

- I jak? - spytał niecierpliwie.

- Pyszne. Jesteś znakomitym kucharzem. Zanurzył w sosie kawałek chleba.

- Te potrawy przywodzą mi na myśl dom. Matkę i siostrę.

- Przypomniałeś sobie coś nowego na ich temat?

- Niewiele. Jestem pewien, że siostra miała brązowe włosy.

Kiedy umarła, pomyślał. I blond, kiedy wróciła do życia.

Wróciła do życia? Co to ma znaczyć? Zmarszczył brwi. Z pewnością pamięć płata mu figle.

Lourdes włożyła do ust kolejną porcję.



- Ciekawe, kiedy przypomnisz sobie swoje imię. Poruszył się na krześle. Świadomość, że pamięć mu wraca i niedługo będzie musiał wyjechać z rancza, ogromnie go przygnębiała. Nie był gotów wracać do dawnego życia, do grobów ludzi, których kochał. Wzruszył ramionami i zmienił temat.

Po jedzeniu nie pozwolił jej zmyć naczyń ani sprzątać w kuchni.

- Później to zrobię - stwierdził.

Zerknęła na bałagan na stole, plamy sosu na kuchence, talerze na stole.

- Mówisz jak prawdziwy kawaler.

Jak kawaler, który chce, byś została jego kobietą, dodał w myślach. Włączył radio i znalazł stację nadającą dawne przeboje. Lourdes podniosła wzrok. Odwzajemnił spojrzenie, zastanawiając się, czy im się uda. Czy też oboje jedynie się sparzą.

- Mogę spróbować ciasteczek?

- Jasne.

Zmusił się do uśmiechu i przyniósł je z kuchni. Czemu się obawia, że ją straci, kiedy odzyska tożsamość? Skąd się brało to przecucie czegoś złego, które nie opuszczało go ani na chwilę?

- Wyglądają jak grzanki - zauważyła Lourdes, sięgając po pierwsze z nich..

- Spójrz. - Zanurzył je w jej kieliszku i włożył kobiecie do ust. - Tak się nauczyłem je jeść.

Przełknęła i mruknęła z zadowolenia. Przyglądał się jej uważnie.

- Smakowało?

- Bardzo.

Karmili się na zmianę, uśmiechając się do siebie zalotnie.

- Zatańcz ze mną, Lourdes. Pozwól się objąć. Kiedy kołysali się razem w rytm muzyki, wyobrażał sobie, że zostaną razem do końca życia. Głos Patsy Cline sączył się z radia. Lourdes położyła mu głowę na ramieniu. Zaczął ją delikatnie gładzić po plecach.

Czy naprawdę pragnie czegoś, czego nie może dostać? Piosenka skończyła się i kobieta podniosła na niego wzrok. W tej chwili nie istniało dla niego nic prócz niej.

- Skropiłeś się wodą, którą ode mnie dostałeś - zauważyła.

Przytaknął.

- Lubię ją. Przypomina mi o tobie.

Uśmiechnęła się. Uniósł rękę i wyjął jej spinki z włosów.

Miodowa fala spłynęła jej na plecy jak wodospad. Objął ją mocniej i przycisnął do siebie. Kiedy ich usta się spotkały, zamknął oczy.

Przywarła do niego, dając mu znać, że pragnie tego co on. Nie trzeba było nic więcej.

Ich pocałunki stały się bardziej namiętne, gorętsze. Smakowała winem, które wypila. Leciutko ugryzł jej dolną wargę; jęknęła z rozkoszy i pragnienia. Pocałował ją znowu, głęboko i zaborczo.

Nagle przerwali i spojrzeli na siebie.

- Chciałbym, żebyś została - powiedział.

- Ja też - odparła, oddychając nierówno. Zerknęła na łóżko. - Ale nie mogę. Nie powinnam.

- Wiem. - Cofnął się o krok, uświadamiając sobie, że to niebezpieczne. - Nie proszę cię o to, Lourdes.

Zamrugła zdziwiona.

- Nie?

Pokręcił głową.

- Nawet gdybyśmy tego chcieli, nie mam żadnej ochrony. Nie jestem przygotowany.

Przesunęła dłoń po falbankach u bluzki. Zauważył cień jej biustonosza, piersi napinające cienki materiał.

- Ja też nie mam zabezpieczenia - przyznała. - Nie trzymam w domu kondomów. Nie traktuję lekko seksu.

- Ja tak. - Juan przestąpił z nogi na nogę. - Albo raczej traktowałem.

- Jak to?

- Wcześniej. Zanim cię spotkałem. Dalej nie pamiętam, kiedy ostatni raz się kochałem, ale wiem, że nie byłem związany emocjonalnie ze swoją partnerką. Nie tak jak z tobą.

Zagryzła wargę.

- Boję się, co będzie, kiedy wyjedziesz. Gdy wrócisz do dawnego życia.

-Też się tego obawiam. - Tak bardzo się bał, że ją straci.

Skrzyżowała ręce na piersi.

- Więc powinnam iść do domu i oboje powinniśmy przestać o tym myśleć. Przestać myśleć o sobie.

Włosy miała zmierzwione, zauważył, a wargi opuchnięte od jego pocałunków.

- Tak - przyznał. - Powinniśmy przestać o sobie myśleć.

Lecz myślał o niej nawet wtedy, gdy odprowadzał ją do wyjścia i obejmował niezgrabnie na pożegnanie. Wiedział, że nigdy jej nie zapomni. Nie dzisiejszej nocy. I może nigdy.

Lourdes jechała do domu, lecz wciąż miała go przed oczami. Trzy godziny później siedziała na aksamitnym stołku, wciąż w ubraniu, które miała na sobie na kolacji, i wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze.

Pragnęła go i wiedziała, że on też jej pragnie.

Westchnęła niecierpliwie. Jak ma żyć, nie znając jego dotyku? Nie wiedząc, jak by to było się z nim kochać?

Więc jedź do niego, powiedziała sobie. Zostań z nim. Zrób to.

Wiedziała, że będzie musiała wstąpić do całodobowego supermarketu po prezerwatywy. Chwyciła portmonetkę, zajrzała do dzieci i zostawiła Caco uspokajającą notkę;

Nie martw się o mnie. Wrócę na śniadanie.

Albo wcześniej, pomyślała, jeśli Juan mnie nie wpuści. Jeśli dojdzie do wniosku, że nasz związek jest zbyt skomplikowany, by ryzykować seks,

Jechała pustą autostradą, zadreęczając się myślami. Oczywiście, że ich relacje są zbyt poplątane. Oboje przyznali, że boją się tego, co może przynieść przyszłość. Co może się zdarzyć, gdy Juan wróci do

dawnego życia. A mimo to nie mogła pohamować pragnienia; potrzeby, by go do siebie tulić, by czuć jego dotyk na swojej skórze.

Niedawno zbudowany supermarket, gdzie sprzedawano tanie przekąski i podstawowe produkty po wygórowanych cenach, mieścił się na obrzeżach miasta. Zaparkowała wóz i weszła do środka. O północy była jedyną klientką wędrującą krótkimi alejkami. Znalazła właściwy dział i zerknęła nieśmiało na sprzedawcę, młodego człowieka wyglądającego całkiem przytomnie jak na tę godzinę.

Zawstydzona, wzięła jeszcze karton mleka, dwa batoniki, paczkę miętówek i chusteczki, mając nadzieję, że prezerwatywy nie będą się za bardzo rzucać w oczy. Sprzedawca bez śladu zdziwienia nabił na kasę jej zakupy. Odetchnęła z ulgą, zastanawiając się, ile spragnionych seksu kobiet zjawiało się tu o północy, starając się zamaskować swoje pragnienie niepotrzebnymi drobiazgami. W drzwiach minęła następnego klienta, kierowcę ciężarówki w średnim wieku. Wsiadła do wozu i ruszyła na ranczo z sercem bijącym mocno z oczekiwania.

Zaparkowała przed chatą dla robotników i wyjęła z torby wszystko prócz kondomów. Włożyła do ust miętówkę i zaczekała, aż cukierek się rozpuści. Nareszcie trzęsącą się ręką zapukała do drzwi Juana.

Otworzył z zaniepokojonym wyrazem twarzy. Lourdes poczuła, że nie może wykrztusić słowa. Stał przed nią bosy, bez koszuli, w pośpiesznie nałożonych dżinsach z odpiętym guzikiem.

- Co się stało? - zapytał. - Któryś koń zachorował?

- Nie, wszystko w porządku.

Ściskała papierową torbę, zastanawiając się, jak mu to powiedzieć. Kiedy się odsunął na bok, weszła do środka i zobaczyła rozgrzebane łóżko.

- Przepraszam, że cię zbudziłam o tej godzinie.

- Nie spałem. Na pewno wszystko dobrze?

Spojrzała na jego brzuch, linię włosów biegnącą od pępka w dół.

- Lourdes? Podniosła wzrok.

- Nie mogłam przestać o nas myśleć, Juan.

- Naprawdę? - przysunął się bliżej. - Ja też nie. To dlatego nie mogłem spać. Nie mogłem o tobie zapomnieć.

To jej dodało odwagi. Podała mu torbę. Zajrzał do środka, a potem popatrzył na nią. Oczy błyszczały mu z podniecenia. Dotknął jej policzka, przesunął stwardniałą od pracy dłoń po jej delikatnej skórze.

- Jesteś pewna, że tego chcesz?

- Tak.

- Nie będziesz później żałować? Martwić się, co będzie, gdy odzyskam pamięć?

Tak, martwiła się tym i obawiała się tego. Teraz jednak nade wszystko go pragnęła.

- Jesteś wart ryzyka.

Wziął ją w ramiona i przez bardzo długą chwilę stali przytuleni do siebie.

- Coś wymyślimy - obiecał. - Bez względu na to, kim jestem i skąd pochodzę, będziemy razem.

Położyła głowę w zagłębieniu jego szyi i wdychała jego zapach.

- To obietnica, Juan?

- Tak - potwierdził. - Tak.

Serce podskoczyło jej z radości. Przywarła do niego, chcąc go zatrzymać już na zawsze. Czy to może być takie proste? Czy będą mogli zostać ze sobą bez względu na wszystko?

Mężczyzna otworzył pudełko i wsunął sobie do kieszeni foliowe opakowanie. Potem zaczął wolno rozpinąć jej bluzkę.

To coś więcej niż gra wstępna, pomyślała. Więcej niż fizyczna potrzeba. Nachyliła się i zaczęła go całować, smakować jego wargi, jego język, pożądanie płynące w jego żyłach.

- Nawet nie wiesz, jakie to niezwykle - odezwał się. - Tyle o tobie myślałem, wyobrażałem sobie ciebie, a ty się zjawiłaś naprawdę i oddajesz mi siebie.

Rozpiął jej biustonosz i pogładził kciukami brodawki jej piersi.

- Opowiedz mi o swoich fantazjach, Juan. Rozpiął jej spódnicę i zsunął w dół bioder.

- Chcę patrzeć, jak osiągasz szczyt. Chcę cię pieścić i patrzeć, jak dochodzisz.

Jego dłonie były wszędzie, gładziły jej piersi i nogi, obrysowując kontury jej ciała.

- Patrz na mnie - poprosił. Spojrzała mu w oczy.

- Pozwolisz się pieścić?

Serce waliło jej mocno. Czy on czuje to samo? Spojrzała na jego pierś, wyraźnie zaznaczone mięśnie.

- Lourdes?

- Tak. - Proszę, zrób to, pomyślała. Chciała przeżyć z nim szaleństwo.

Uśmiechnął się szelmowsko. Może i było w nim coś dzikiego, lecz w tej chwili ona też to w sobie miała. Zdjęła buty. Mężczyzna zsunął jej rajstopy. Potem ją podniósł i posadził na swoim łóżku. Poczuła, jak podniecenie płynie falą w jej żyłach. Prześcieradła były ciepłe i zapraszające. Rozłożyła nogi i przycisnęła jego twarz do swojego brzucha.

Uśmiechnął się znowu i nachylił głowę. Wyszepiała jego imię i uniosła biodra, zbyt podniecona, by myśleć jasno. Wsunęła mu dłoń w włosy. Kim on jest? Ten mężczyzna doprowadzający ją do szaleństwa swoim pożądaniem. Ten mężczyzna, który obiecał jej wspólną przyszłość.

Czy to naprawdę takie nierealne? Nie, pomyślała. To musi się udać. Czuli się razem tak szczęśliwi, tak.

Orgazm przyszedł jak grom z jasnego nieba, jak deszcz opływający całe ciało. Mgła zasnuła jej oczy, wszystkie kolory zlały się w jeden szalony wir. Objął ją i trzymał w ramionach. Silnych, bezpiecznych ramionach. Uścisk kochanka. Był wszystkim, o czym marzyła. Przytuliła się do niego i jęknęła cicho. Otworzył oczy i uśmiechnął się. Popatrzyła w dół.

- Wciąż masz na sobie spodnie, Juan.



- Wiem. Ale ledwie się w nich mieszczę.

- Widzę. - Zaczęła się bawić ich zamkiem. - Mogę ci zrobić to samo, co ty zrobiłeś mnie.

- Nie tym razem.

- Następnym?

Jego ciało pulsowało.

- Tak. Następnym.

Wyjął prezerwatywę z kieszeni, a Lourdes rozsunęła mu spodnie. Ujęła go w dłoń, podczas gdy mężczyzna ją całował. Podobało mu się, że Lourdes będzie pierwszą kobietą, którą zapamięta; że przeżyje z nią pierwszy ważny romans. Przyłgnęli do siebie i dali się unieść podnieceniu. Wszedł w nią szybko i gwałtownie. Objęła go udami; zaczęli się poruszać w jednym rytmie. Ich usta się spotkały; całowali się i pieścili namiętnie, gorąco, nie mogąc przestać.

Długie, miodowe włosy Lourdes rozsypały się po poduszce. Ciało miała pełne i gładkie, dojrzałe i kobiece.

- Obiecuj, że zostaniesz ze mną do rana. Że będziesz tutaj spała.

- Obiecuję.

Przesunęła dłonią po jego brzuchu, zaczęła zataczać palcem kręgi wokół pępka. Choć ręce miała zniszczone od pracy, jej dotyk był delikatny i czuły. Nagle zapragnął spowolnić tempo, sprawić, by chwila ta trwała dłużej, lecz nie mógł. Dał się unieść pożądaniu.

Lawendowe światło przedświtów sączyło się przez okno. Lourdes nie spała prawie od godziny. Leżała, obserwując śpiącego mężczyznę.

Pasmo włosów spadło mu na czoło, blednące sińce pod oczami przypominały jej dzień, gdy go zobaczyła pierwszy raz. Nie mogąc się oprzeć impulsowi, przesunęła palcem wzdłuż linii jego szczęki. Szorstki dotyk odrastającej brody sprawił jej przyjemność. Ubiegłej nocy zasnęli objęci, tuląc się do siebie mocno. Juan nadal był nagi, lecz Lourdes po wyprawie do łazienki wczesnym rankiem włożyła biustonosz i figi.

Zmięte prześcieradło zasłaniało Juana od pasa w dół. Poruszył się i otworzył oczy, uśmiechając się do niej sennie. Wyglądał jak najwspanialszy okaz mężczyzny na Ziemi: wysoki, silny i opiekuńczy. Nagle zapragnęła, by prze- , żyć na nowo każdy dreszcz rozkoszy, którego jej dostarczył, każde uniesienie. Dotyk jego warg, jego dłoni, jego rozpalonej skóry.

Zagryzła wargę.

- Cześć.

- To już rano?

- Prawie. - Tłumiąc pragnienie, by przesunąć dłonią w dół jego brzucha, zebrała wszystkie siły i chwyciła prześcieradło. Nie miała czasu ulegać swoim fantazjom, by wziąć go w siebie i nigdy nie wypuszczać. - Niedługo muszę iść.

- Tak szybko? - wyjrzał przez okno. - Jeszcze się dobrze nie rozjaśniło.

- Wiem. Ale muszę dotrzeć do domu, zanim się wszyscy obudzą. Zostawiłam Caco wiadomość, że wrócę na śniadanie.

A nie chciała zjawić się w domu rozczochrana i wymięta, jak gdyby spędziła noc na romansowaniu z przystojnym nieznajomym - nawet jeśli to była prawda.

- Bliźniaczki są jeszcze małe i nieświadomione, a Amy ma już piętnaście lat i z pewnością wie co trzeba. Po prostu nie wydaje mi się to właściwe.

Juan ujął ją za rękę.

- Rozumiem.

- Przyjdiesz później na śniadanie? Pokręcił głową.

- Nie dzisiaj. Obawiam się, że wszystko byłoby po mnie widać.

Ona też czuła, że nie będzie umiała udawać przed bliskimi.

Zastanawiała się, kiedy będą mogli oświadczyć wszystkim, że należą do siebie nawzajem.

- Dalej się martwisz przyszłością? - spytał.

Odetchnęła głęboko.

- Tak bardzo to widać?

Skinął głową.

- Tb nic złego. Nie musisz przeproszać za to, co czujesz.

Przytuliła się do niego, żałując, że będzie musiała odejść.

Pogładził ją po włosach. Czy wszystko będzie dobrze, gdy mężczyzna odzyska pamięć? Czy naprawdę uda im się stworzyć wspólne życie?

Zamknęła oczy. Wiedziała, że zakochuje się w nim coraz bardziej, że Juan ukradł jej biedne, pełne strachu serce. Czy on też ją kocha?

Otworzyła oczy i spojrzała na niego uważnie. Na mężczyznę, którego przeszłość wciąż pozostawała tajemnicą.

- Powiedz, że nam się uda, Juan. Że to nie sen.

- To się dzieje naprawdę, Lourdes. - Poglądził ją po policzku. -I  
uda nam się.

Wtedy dopiero mogła się uspokoić, przestać się martwić, że Juan Guapo jest wytworem jej wyobraźni, że go sobie wymyśliła.

- Lepiej już pójdę.

Pocałował ją ostatni raz - mocno i głęboko. Smakował  
wszystkim, czego pragnęła, za czym tęskniła.

- Zobaczymy się przy pracy - obiecał.

- Okej.

Podniosła się z łóżka i zaczęła zbierać porozrzucane rzeczy.  
Zauważyła pudełko z kondomami i wyjęła kilka. Co robisz? - spytał z  
krzywym uśmiechem.

- Przygotowuję się na później.

- Ach, tak? - Usiadł na posłaniu. - Jak dużo później?

- Nie wiem. Jak tylko się uda.

- Randka na ranczu? Ukradkowe spotkanie na sianie?

Brzmiało to bardzo prowokacyjnie, niepokojąco, namiętnie.  
Ledwie wierzyła, że dzieje się to naprawdę.

Ubrała się, choć wolałaby zostać przy nim naga. Przy swoim  
bohaterze, tajemniczym nieznajomym. Przy mężczyźnie, którego nie  
mogła nie kochać.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Później tego dnia dała Juanowi lekcję układania źrebiąt. Mężczyzna stał obok klaczy, podczas gdy Lourdes pracowała ze źrebakiem. Młoda klaczka Dolly dawała się prowadzić z niezwykłą łatwością.

Juan nie przypominał sobie, by kiedykolwiek zajmował się czymś podobnym, nie spodziewał się jednak, żeby tak młode zwierzę zachowywało się tak spokojnie i posłusznie. Staroświeccy kowboje uważali, że źrebiąt nie należy układać, lecz Lourdes była zwolenniczką nowych metod.

Dolly, urodzona niedługo przed przybyciem Juana na rancho, dawała sobą kierować bez trudu i stała już spętana - rzecz, której większość koni uczy się długo. Lourdes przerwała i cicho zaczęła chwalić źrebię za jego wysiłki.

- Więc pracujesz z nią od dnia, gdy się urodziła? - spytał mężczyzna.

Skinęła głową.

- Kiedy Dolly i jej matka poznawały się wzajemnie, oswoiłam małą, gładząc ją po pysku i uszach. Trzeba to powtarzać jak najczęściej.

Juan obserwował Dolly stojącą cierpliwie, gdy Lourdes oczyszczała jej kopyta. Nagle przebiegło mu przez myśl, jak by to było zostać ojcem, założyć własną rodzinę. Rodzinę Lourdes, pomyślał. Chciał, by jej dzieci nazywały go tatą.

Uśmiechnęła się do niego; zadrżało mu serce. Była jego przyjacielem, kochanką, nadawała sens jego życiu. A mimo to tak samo jak ona lękał się tego, co nadejdzie. Obawiał się swojej prawdziwej tożsamości.

- Niedługo sobie przypomnę - powiedział na głos. Przerwała pracę.

- Co takiego?

- Pamięć niedługo mi wróci.

- Czujesz się niespokojny?

- Chyba trochę.

Jak mógł oczekiwać, że Lourdes za niego wyjdzie, skoro nie znał nawet własnego imienia? Wyjdzie za niego? Czy tego właśnie pragnął? By została jego żoną? Tak, pomyślał. Właśnie tego. Nie mógł jej jednak poprosić o rękę, jeszcze nie. Najpierw musi się dowiedzieć, kim jest; czy może jej cokolwiek zaofiarować.

Lekko zaniepokojony, wsunął rękę do kieszeni. Nigdy wcześniej nie był zakochany i nagle spadło to na niego jak grom z jasnego nieba. Zapraagnął mieć żonę, dzieci, własny dom. Czy zawsze to tak wygląda? Mężczyzna budzi się pewnego ranka i uświadamia sobie, że się zakochał; że kobieta, której pożądał, nagle wkradła się do jego serca? Jak duch, pomyślał. Jak cudowna zjawia, która może' lada chwila rozwiać się w nicość.

A jeśli Lourdes po prostu go odeśle, kiedy wszystko się skończy? Jeśli uzna, że Juan nie jest dla niej odpowiednim

mężczyzną? Nie przeżyłby tego. Samotność by go zabiła. Więc może powinien wyjechać już teraz, uciec, zanim go spotka najgorsze

- Wszystko w porządku, Juan?

Nie jestem Juanem, pomyślał. To nie moje imię.

- Po prostu tęsknię za tobą.

- Ale ja tu jestem.

- Wiem. Ale chciałbym cię dotknąć. Objąć. - Przytulić do serca.

- Więc zostawmy Dolly i jej mamę i znajdziemy sobie jakiś zaciszny kąt w stodole.

-Serio?

Rano tylko żartował na temat spotkania na sianie, teraz jednak nabrał chęci, by zaryzykować. Ona też wydawała się chętna.

Wyprostowała się, kilka pasm włosów wymknęło się z niedbałe zaplecionego warkocza. Słońce wisiało nisko nad horyzontem, oblewając niebo szkarłatnym blaskiem.

W stodole.

Ogarnęło go pożądanie; niespełna dziesięć minut później oboje z Lourdes znajdowali się w pustej zagrodzie, którą posprzątał parę godzin wcześniej, otoczeni zapachem koni, słomy i siana. Wtulił głowę w jej szyję.

- Nie znajdą nas tutaj, prawda?

Rozpięła bluzkę.

- Nikogo nie ma w okolicy - zapewniła. - Kowal i weterynarz już sobie poszli. Zostaliśmy tylko my dwoje. Nawet w domu nikogo nie ma. Caco zabrała dziewczynki do kina.

Mimo to wydawało się to niebezpieczne. I takie podniecające. Przyglądał się, jak Lourdes zdejmuje biustonosz i spodnie.

- Nie musisz się rozbierać do końca - powiedziała. Rozpiął koszulę i spojrzał w dół na spodnie.

- Nie?

- Nie. - Pchnęła go na słomę. - Tylko rozepnij zamek i zsuń bokserki.

Puls bił mu coraz mocniej.

- Tak jest, proszę pani.

Uklękła między jego nogami i już wiedział, czego się spodziewać.

- Dawno tego nie robiłam. - Spojrzała na niego po dziewczęcemu, trochę nieśmiało, trochę prowokująco. - Ale postaram się, żeby było ci dobrze.

Mało powiedziane. Nachyliła się i zaczęła pieścić jego brzuch. Jeszcze zanim dotknęła go ustami, dygotał z pożądania. Rozplótł jej warkocz, ona tymczasem gładziła go rytmicznie, wprowadzając w trans. Przyciągnął ją do siebie, przycisnął mocno. Żdźbła siana drapały go po plecach, lecz to wrażenie jeszcze go podniecało. Szorstkie poślanie i jej delikatne, ciepłe usta. Pociągnął ją w górę, wsunął dłoń pod gumkę jej fig i zaczął ją pieścić. Jęknęła z rozkoszy, pragnąc więcej. Zsunął jej bieliznę; emocje szalały w nim jak burza. Nałożyła mu prezerwatywę; aż westchnął z rozkoszy.

Jego Lourdes, jego miłość.



Usiadła na jego biodrach i wolno przyjęła go w siebie. Ich spojrzenia się spotkały, dłonie splotły. Widział w jej oczach rozkosz, drżenie, pragnienie. Nagle zwolniła rytm i wygięła się giętkim, płynnym ruchem.

To nie gra, bieg do mety, pomyślał. To początek czegoś nowego. Dawania i brania, kiedy mężczyzna i kobieta naprawdę stają się jednością. Przetoczył się na nią, przyciskając ją do szorstkiego posłania. Słoma wplątała się w długie pasma jej miodowych włosów. Wyglądała na oszołomioną, wahała się na granicy orgazmu. Podobnie jak on. Osiągnęli go równocześnie, w tym samym mgnieniu szalonej rozkoszy. Kiedy się to stało, wiedział, że jest stracony, że jego serce - jego nieostrożne serce - już na zawsze będzie należało do niej. Dla niego za późno było się cofać.

Następnego popołudnia namówił Lourdes, żeby wzięła sobie parę godzin wolnego i wybrała się do parku na piknik z rodziną. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio jadła smażonego kurczaka i patrzyła, jak dziewczynki szaleją na placu zabaw. Caco i Amy przyszły również i właśnie kołysały bliźniaczki na huśtawkach.

Lourdes obróciła głowę, by spojrzeć na Juana. Siedział obok niej na kocu rozłożonym na trawie, popijając mrożoną herbatę z puszki. Teksaska jesień nie zawiodła oczekiwań: było ciepło, lecz nie za gorąco. Uświadomiła sobie, że to pierwszy raz, kiedy mężczyzna wypuścił się poza ranczo.

- Jak wrażenia? - spytała.

- Doskonale. A ty jak się czujesz bez pracy?

- Wspaniale. - Sięgnęła po herbatę. - Ale pytałam o przyjazd do Mission Creek.

- Nadal nie wydaje mi się znajome. - Lekki wiatr zmierzwił mu włosy. - Ale podoba mi się. Przynajmniej ta część, którą widziałem do tej pory.

Park rzeczywiście był piękny. Zielone i dobrze utrzymane trawniki, alejki obrzeżone krzewami.

- Niedaleko znajduje się bardzo ekskluzywny klub golfowy.

- Serio? - zmrużył oczy od słońca. - Byłaś tam kiedyś?

- Nie. Ale zawsze się zastanawiałam, jak to jest być kimś, kto bywa w takich miejscach.

Poprawił kapelusz, starego stetsona po jej dziadku.

- Wyglądam ci na kogoś takiego?

- Nie wiem.

W tym momencie wyglądał jak ranczer, który wybrał się na wycieczkę z rodziną. Z rodziną? Serce Lourdes zabiło mocno. Kiedy to oddała Juanowi swoją rodzinę? Kiedy się w nim zakochała. Kiedy się modliła, by mieli wspólną przyszłość.

- A ty sądzisz, że jesteś kimś, kto bywa w klubach golfowych? - zapytała.

Wzruszył ramionami.

- Kto wie? - Popatrzył na swoje wystrzępione dżinsy i spracowane dłonie. - Chyba nie. Ale z drugiej strony mój wóz musiał być wart kradzieży. Inaczej czemu by mnie napadli?

Ich oczy się spotkały.

- Sińce prawie zniknęły. Nieźle wyglądasz.

- Dzięki. Stłukli mnie na kwaśne jabłko, co? A skoro już o tym mowa... - uśmiechnął się, unosząc jeden kącik ust - ...czemu nazwałaś mnie panem Przystojniakiem? Skąd ci to przyszło do głowy?

Otworzyła szeroko oczy.

- Nic podobnego,

- Juan Guapo. To to samo.

- Wcale nie. Uśmiechnął się złośliwie.

Właśnie, że tak.

Nie wiedząc, jak się bronić, pogładziła warkocz i przypomniała sobie, jak mężczyzna rozplatał go ubiegłego dnia, kiedy go pieściła.

- Guapo to całkiem normalne nazwisko.

- Być może. Ale znaczy „przystojny”. Przewróciła oczami, on jednak uśmiechał się nadal, szelmowskim, chłopięcym uśmiechem. Jest szczęśliwy, uświadomiła sobie nagle. Ona też była.

- Udaje się nam, prawda? Skinął głową i przysunął się bliżej.

- Czuję się, jakbym gdzieś wreszcie należał. Pierwszy raz w życiu.

Do mnie, pomyślała. Należy do mnie. Obcy w jej stodole, który stał się jej kochankiem. Pogładziła go po ręce i siedzieli w milczeniu, patrząc na dzieci. Moja rodzina, pomyślała Lourdes. Jego rodzina.

- Jaś Przystojniaczek - rzuciła.

- Ano.

Spojrzał na nią i oboje się roześmiali. Kiedy śmiech ucichł, dźwięki i barwy wokół nich nabrały intensywności: wielkie, cieniste drzewa, piski bawiących się dzieci, ptasie nawoływania.

- Opowiedz mi o Caco i Amy - rzucił mężczyzna, obserwując je obie. - Kim są rodzice Amy?

- To najstarszy syn Caco i jego żona. Mieszkają w Kalifornii, tak?

- Aha. Przeprowadzili się do Los Angeles, kiedy Amy była malutka, i od tej pory co roku przyjeżdża do babci.

- Kiedy zmarł mąż Caco?

- Dawno temu. Zanim jeszcze zaczęła pomagać na ranczu. Straciła wielu z tych, których kochała. Jej drugi syn, młodszy, zginął podczas wojny w Zatoce.

Juan milczał dłuższą chwilę z nieobecny spojrzeniem. Kiedy zwrócił twarz w jej stronę, jego ciemne oczy miały dziwny, skupiony wyraz.

- Co się stało? - spytała.

- Byłem tam.

- Gdzie?

- W Zatoce. W czasie Pustynnej Burzy.

Lourdes omal nie wylała herbaty. Jej kowboj był żołnierzem?

- Służyłeś w armii?

- W marines. Zgłosiłem się na ochotnika do tajnej misji. Z moim oddziałem. Ale coś poszło nie tak.

- To znaczy?

Widziała niemal, jak okruchy jego przeszłości wracają, układając się w pełny obraz.

- Nie jestem pewien, ale zostaliśmy schwytani za linią wroga.

Dotknęła jego policzka.

- Dostałeś się do niewoli?

- Tak. - Położył dłoń na jej ręce. - Ale nie pamiętam tego dokładnie. Nie mogę zobaczyć szczegółów ani twarzy. Jak we śnie.

Lecz z tonu jego głosu wiedziała, że mówi prawdę. Juan Guapo był żołnierzem piechoty morskiej. Ochotnikiem, który brał udział w niebezpiecznej misji. Człowiekiem, który spędził Bóg wie ile czasu w niewoli.

- Zdaje się, że trzymali nas gdzieś pod ziemią. Było ciemno, czasem nas bili. - Szczegóły wyłaniały się z mroku, stawały coraz wyraźniejsze. - Ale nie dawaliśmy się złamać, tak jak nas uczyli.

- Jesteś bohaterem.

Mężczyzną, którego kobieta może szanować.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Tak.

Kochała go mocniej z każdą chwilą.

- Mogę dzisiaj do ciebie przyjść? Mogę spać u ciebie? Nachylił się do niej.

- Możesz spać u mnie każdej nocy, Lourdes. Każdej nocy przez resztę życia, pomyślała.

Juan nie mógł zasnąć. Lourdes leżała obok niego, ciepła i delikatna, lecz w jego myślach panował zamęt. Fragmenty wspomnień

pojawiały się i znikwały jak elementy układanki. Nic nie było jasne. A mimo to pojawiały się wciąż nowe kawałki nie pasujące do niczego, tworząc bezsensowny wzór. To, co sobie przypominał, było dziwaczne, przerażające. Upiorne.

A jeśli wcale nie jest bohaterem, za jakiego uważa go Lourdes? Odsunął się od niej, usiadł i zaczął trzeć skronie. Usiadł na brzegu łóżka. Tak bardzo chciał, żeby Juan Guapo był rzeczywisty, żeby jego prawdziwa tożsamość nigdy nie istniała.

- Juan? - odezwał się w ciemności głos Lourdes. Westchnął ciężko. Dlaczego stało się to teraz, kiedy miał obok siebie ukochaną kobietę?

- Idę się napić wody.

Zapalił małą lampkę. Lourdes przesunęła się i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Dobrze się czujesz?

Popatrzył na nią. Wyglądała jak anioł, włosy spływały jej na ramiona niczym splątane pędy wina. Piersi miała odsłonięte, o różowych sutkach. Zaledwie przed paroma godzinami, kiedy się z nią kochał, w uniesieniu powtarzała jego imię.

- Boli mnie głowa - rzucił.

- Przyniosę ci aspirynę. - Przyłgnęła ustami do jego szyi, całując bijący w tym miejscu puls. - Powiedz tylko, gdzie jest.

Siedział na łóżku niczym zaczarowany, pragnął ją objąć, kochać się z nią raz jeszcze, by odpędzić złe myśli.

- W szafce w łazience.

Poszła boszo po podłodze, wdzięczna jak gazela, naga jak nimfa leśna. Kiedy wróciła, wciąż siedział w tej samej pozycji. Podała mu szklanekę i dwie tabletki; połknął gorzkie lekarstwo, odstawił szklanekę i wtulił twarz w jej brzuch. Przesunęła dłońmi przez jego włosy, chcąc go pocieszyć. Czuł jej zapach, gładził smugi na jej brzuchu - ślady po bliźniaczej ciąży. Schylił głowę i pocałował ją.

- To coś więcej niż ból głowy, prawda? Popatrzył na nią.

- Tak.

- Opowiedz.

Weszła na łóżko i skłoniła go, by usiadł obok, nakryty prześcieradłem.

- Przypominają mi się różne rzeczy.

- Jakie?

Zmarszczył brwi. Głowa wciąż go bolała.

- Dzień, kiedy wróciłem z wojny do domu. - Gdziekolwiek ten dom się znajdował. - Odbyła się parada.

- Powitanie bohatera.

- Tak. - Lecz nie czułem się dobrze z tym tytułem. - Cieszyłem się, że wróciłem; że ten koszmar wreszcie się skończył. Nasz dowódca zorganizował misję ratowniczą. - Kimkolwiek ten był ten śmiałek, Juan nie pamiętał żadnych twarzy. - Potem media nazwały nas Nieustraszoną Piątką, Zniszczyliśmy fabrykę broni biologicznej. To była ta misja.

- Słusznie postąpiliście.

- Wiem.

- Więc czym tak się dręczysz? Wspomnieniami z niewoli?

- Nie.

Nieustraszona Piątka nie dała się złamać. Przeżyli i wrócili jako bohaterowie.

- Moja siostra utonęła tego dnia. W dniu parady.

- Och, Juan. - Lourdes położyła mu dłoń na ramieniu. - Tak mi przykro.

- To nie wszystko. - Kolejne poszarpane fragmenty, więcej bólu.

- Nie od razu ją znaleziono. W końcu jednak ciało wypłynęło.

Widziałem je w kostnicy.

- Tak mi przykro.

- To nie była ona, Lourdes. To nie było jej ciało. Lecz mimo to ją opłakiwałem.

Podciągnęła wyżej koc, jakby to wyznanie ją przeraziło.

- To nie ma sensu.

- Myślisz, że nie wiem?

- Z pewnością się pomyliłeś. Umysł płata ci figle.

Czy to jego umysł go zwodzi? Nie był pewien.

- Tak sądzisz? - spytał,

- Przecież są testy DNA, karty stomatologiczne. Można stwierdzić, czy to była twoja siostra.

Pogładził ją po włosach.

- Wiem.

- To musiała być ona.



- Może. Przypominam sobie kilka jej obrazów. Za każdym razem wygląda inaczej: nie tylko kolor włosów, ale nawet rysy.

- Twoje wspomnienia są jeszcze splątane.

- Tak. - Przerazająco splątane.

- Chcesz iść na policję? - spytała. - Żeby ci pomogli odzyskać tożsamość, poskładać to wszystko w całość?

Czy był gotów?

- Nie - odpowiedział.

Potrzebował więcej czasu, żeby jego wspomnienia się wyklarowały, żeby zostać jeszcze trochę z Lourdes, zanim zmieni się ich świat. Zanim stanie się tym człowiekiem, co kiedyś.

- Chciałbym cię tak trzymać już zawsze - szepnęła. Przywarła do niego całym ciałem.

- Będziemy się trzymać nawzajem.

Wtulił twarz w jej szyję, a ona pieszczotliwie przesunęła dłońmi po jego plecach. Jej dotyk był lekki i delikatny, obudził w nim pragnienie. Pocałował ją - namiętnie, stanowczo, aż pisnęła cicho. Potrzebował jej, tak bardzo jej potrzebował. - Schylił głowę i polizał jej sutek, a potem zaczął go delikatnie ssać.

- Kochaj mnie - poprosiła.

Kocham, pomyślał. Kocham do szaleństwa.

Przeraziło go to. Lecz nie było między nimi miejsca na strach teraz, gdy leżeli nadzy, a ich ciała wibrowały od tęsknoty i pożądania. Przyłgął do niej, by wiedziała, jak bardzo jej pragnie.

- Jeszcze - szepnęła, gładząc go po brzuchu. Oddał się jej do końca; wszedł w nią najgłębiej, jak potrafił, a potem kochał się z nią - ciałem, sercem i umysłem. Leżeli potem objęci długą chwilę.

Spojrzał na zegarek. Wiedział, że Lourdes odejdzie przed świtem. Tego dnia przyniosła ze sobą szczoteczkę do zębów i ubranie na zmianę, by ich spotkanie nie musiało się skończyć w wielkim pośpiechu.

- Wykąp się ze mną - poprosił, wciąż jeszcze nie gotowy, by pozwolić jej odejść.

Uśmiechnęła się; razem poszli do łazienki i stanęli w ciasnej kabinie pod prysznicem, pozwalając, by woda spływała po ich ciałach.

- Uda nam się, Juan. Musi.

- Tak. - Musi im się udać. Nieważne jak, znajdą sposób, by zostać razem.

A w każdym razie modlił się o to.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Lourdes stała wraz z Caco, Amy i bliźniaczkami obok Juana, który zaglądał pod maskę wozu Caco. Zdezelowany Chevrolet przegrzał się. Starsza kobieta jechała całą drogę ze sklepu, prawie nie używając hamulca.

Odgarnęła włosy z czoła i spojrzała na Juana. Nieźle się prezentuje, pomyślała. Swobodnie radzi sobie z naprawą samochodu, tak samo jak radził sobie z naprawą płotu i pracą z końmi.

Wciąż się zastanawiała, czym się zajmował po zwolnieniu z marines; czym zarabiał na życie, zanim się zjawił na ranczu. Ręce miał silne i zniszczone od pracy już wtedy, kiedy go znalazła, lecz to nie musiało znaczyć, że był robotnikiem. Wiedziała, że mężczyzna lubi pracę w drewnie - hobby, które mogło się do tego przyczynić.

- To przewód chłodnicy - stwierdził. Lourdes odetchnęła z ulgą.

- Nic poważnego.

- Fakt, ale parę innych przewodów też wymaga wymiany. -

Uniósł jeden z nich, by pokazać, jaki jest popękany. - Wymienię je - zwrócił się do starszej kobiety - ale Lourdes musi mnie podwieźć po części.

- Nie ma sprawy - Caco chętnie zaoferowała mu usługi Lourdes.

Sama Lourdes nie miała nic przeciwko temu. Zaakceptowałyby każdą wymówkę, byle się znaleźć sam na sam z Juanem. Przyglądała mu się, gdy poprawiał kapelusz. Kim on jest? Jakie nazwisko widniało na prawie jazdy, które mu skradziono?

- Dobrze mieć pod ręką mężczyznę - powiedziała Caco.

Spojrzała na Lourdes. - Prawda?

- Prawda.

Młoda kobieta wiedziała, że Caco akceptuje Juana, a nawet fakt, że on i Lourdes zostali kochankami. Mimo to starała się ukryć ten fakt przed dziećmi. Wiedziała, że bliźniaczki z radością przyjąłby Juana jako ojca, lecz nie chciała ich do tego zachęcać, póki nie znała przeszłości mężczyzny. I nie chciała sobie robić nadziei, jak długo nie wiedziała, czy zechce się z nią ożenić. Na razie więc przyszłość ich wszystkich zależała od tego, kim był i skąd się zjawiał.

A jeśli musiałby wyjechać z kraju? Jeśli pracował dla rządu? Albo zawarł prywatny kontrakt z armią na jakieś specjalistyczne usługi? Im więcej czasu z nim spędzała, tym mniej wydawał się jej zwykłym, przeciętnym mężczyzną. Może to z powodu jego przeszłości: udziału w misji, niewoli, tajemniczej śmierci siostry.

A może po prostu obawiała się go stracić.

- Gotowa? - spytał.

Odrzuciła włosy z Nosila je ostatnio swobodnie rozpuszczone, bo wiedziała, że Juanowi się to podoba.

- Jasne. Muszę tylko zabrać torbę.

- Czy ja i Paige też możemy z wami pojechać? - zapytała Nina.

Lourdes spojrzała na starszą z bliźniaczek, wpatrzoną w nią wielkimi oczami. Przez ostatnich kilka dni dziewczynki nie odstępowały Juana na krok niczym dwa psiaki. Paige go uwielbiała, Nina wciąż coś mu szeptała do ucha.

- Jeśli Juan nie ma nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie. - Uśmiechnął się do dziewczynek. —

Przyda mi się pomoc.

Pomoc dwóch czterolatek? W sklepie z częściami samochodowymi? Lourdes ruszyła do domu po portmonetkę. Nic dziwnego, że małe go uwielbiają. Był idealnym materiałem na ojca: silny i cierpliwy.

Zanim dotarli do miasta, Nina opowiedziała mu wszystkie kreskówki, jakie obejrzały z siostrą tego ranka. Nie przestała terkotać nawet na parkingu, ściskając go za rękę. Paige milczała, lecz wzięła go za drugą dłoń, po czym zerknęła za siebie, by sprawdzić, czy Lourdes się gdzieś nie zgubiła.

Supermarket z częściami samochodowymi był duży, stopy narzędzi i elementów wyposażenia piętrzyły się wzdłuż alejek.

- Idę tam. - Juan wskazał kontuar w głębi, przed którym uformowała się krótka kolejka.

- My też - odparła szybko Nina, podskakując obok niego.

Lourdes uznała, że będzie im tylko przeszkadzać, i postanowiła się przejść po sklepie.

- Zaraz do was przyjdę - oświadczyła zadowolonej z siebie trójce.

- Nie musisz się śpieszyć - zapewniła Nina, pragnąca mieć Juana tylko dla siebie i siostry.

Juan mrugnął do Lourdes, po czym odszedł z dziewczynkami. Uśmiechnęła się do siebie i ruszyła poszukać sobie zajęcia. W jednej z

alejek znalazła ładne odświeżacze powietrza do zawieszenia na tylnej szybie. Postanowiła któryś wybrać.

- Lourdes? To ty?

Obróciła się i znalazła się twarzą w twarz z Tylerem Murdochem, dawnym znajomym. U jego boku stała piękna ciemnowłosa kobieta.

- Pewnie, że tak. A niech to, Tyler. Nie widzieliśmy się od wieków.

W liceum chodził z jej koleżanką, ale układ nie przetrwał długo. Zawsze był samotnikiem o gwałtownym charakterze. Facetem, który ciągle wpadał w tarapaty. Trudno kogoś takiego uznać za idealny materiał na chłopaka.

Ślicznotka u jego boku nosiła obrączkę. I on tak samo. Przedstawił swoją towarzyszkę jako Marisę; kobiety uściśniły sobie ręce.

Lourdes straciła kontakt z Tylerem, kiedy wyjechała do college'u, a potem zaplątała się w związek z Guntherem. Podtrzymywanie znajomości z dawnymi przyjaciółmi, szczególnie niespokojnymi duchami, nie było wtedy możliwe.

- Jak ci się powodzi?

- Nieźle. Prowadzę ranczo po dziadku.

I ledwie się utrzymuję na powierzchni, dodała w myślach.

Popatrzył na nią łagodnie.

- Słyszałem o tym palancie, za którego wyszłaś. Bardzo mi cię było żal.

A więc wiedział o błędzie, jaki popełniła.

- Dziękuję, ale teraz już wszystko dobrze. Poznałam kogoś nowego. On jest...

Umilkła. Co ona wyprawia? Opowiada Tylerowi o Juanie? Przyznaje się, że się zakochała?

- Jaki?

- Zupełnie inny. Stoi tam z dziewczynkami. Wskazała w stronę kontuaru, ale Juana nie było widać z tego miejsca.

- To wspaniale. Naprawdę bardzo się cieszę ze względu na ciebie. - Ujął żonę za rękę i spojrzał na nią czule, by pokazać, że sam również czuje się szczęśliwy. - Pora na nas. Miło było cię spotkać.

- Ciebie też.

Lourdes patrzyła za nimi, gdy się oddalali; serce biło jej mocno. Zrobiła to. Powiedziała głośno, że Juan należy do niej. Wrażenie było fantastyczne. Z lekkim uśmiechem poszła go poszukać, zadowolona z obrotu spraw.

Chwilę później Tyler Murdoch podniósł wzrok i zobaczył Lourdes z dziećmi idącą do wyjścia. Zerknął z zaciekawionym na mężczyznę, o którym mu mówiła.

- O mój Boże. Marisa drgnęła.

- Co się stało?

- Widziałaś go?

- Kogo?

- Faceta Lourdes. Może zabrzmiało to dziwnie, ale cholernie przypominał Mercada.

- Mercada? - Kobieta przechyliła głowę. - Ricky'ego Mercada?
- Tego samego.

Szefa mafii, którego szeryf i FBI poszukiwali w tajemnicy przed opinią publiczną.

- Co by robił w towarzystwie twojej koleżanki i jej dzieci?  
Urządzał sobie przechadzki po Mission Creek, jak gdyby nie miał nic na sumieniu?

- To niemożliwe. Nie po tym wszystkim, czego się dopuścił.  
Ostatnie co słyszałem, to że uciekł z miasta.

- No właśnie. To nie mógł być on.
- Wiem.

Tyler tylko przez chwilę widział profil nieznanego. Z tej odległości nie był w stanie dostrzec szczegółów. Mimo to nowy przyjaciel Lourdes przypominał mafiosa. A Tyler znał go dobrze. Ostatecznie razem studiowali w Virginia Military Institute, służyli w tej samej jednostce, dostali się do niewoli w Zatoce. Chwilami czuł, że kocha drugiego mężczyznę jak brata. A kiedy indziej zupełnie mu nie ufał.

- Tamten gość był nawet tak samo zbudowany.
- Cierpisz na przywidzenia, Tyler.

Wywrócił oczami, potem ściągnął brwi. Przez ostatnich parę tygodni nie było go w mieście, nie wiedział więc, jak postępuje śledztwo w sprawie Mercada.

- Chyba powinienem zadzwonić do szeryfa. Może trzeba by zorganizować jakieś spotkanie z FBI.



Tylko żeby zapytać o parę rzeczy, pomyślał. By się dowiedzieć, czy są jakieś wieści w sprawie Ricky'ego.

Juan, Lourdes i dzieci wrócili na ranczo w samą porę, by pomóc Caco przy obiedzie. Juanowi podobał się pomysł, żeby spędzić z nimi nieco czasu, jakby byli prawdziwą rodziną. Dziewczynki pomagały mamie przygotować zapiekankę z fasoli, Amy tarła ser. Caco niczym czarodziejka potrafiła przyrządzać tanie, sycące i smaczne dania z warzyw.

- Naprawię samochód, jak tylko zjemy - zwrócił się do niej Juan.
- Dziękuję. - Podała mu sałatę i zaprzęła do jej przygotowania.
- Bardzo się cieszę. Ciągłe się boję, że utknę gdzieś w głuszy i nie będę się mogła wydostać.

Otworzyła opakowanie tortilli.

- A przy okazji, kiedy was nie było, weszło tu paru gości.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

- Jak to weszło?

Starsza kobieta oparła się o stół.

- Przyszli tutaj i twierdzili, że są zainteresowani naszymi roczniakami, ale mnie nie przekonali. Myślę, że chodziło im o ranczo.

- Ciągłe się to zdarza od śmierci dziadka - odezwała się Lourdes.
- Ludziom się wydaje, że je sprzedam za mniej, niż jest warte.

Bo ranczo jest w tarapatach, dodał w myślach Juan. Bo Lourdes ledwie sobie radzi z jego utrzymaniem.

- Ci nie byli szczególnie delikatni. - Caco prychnęła. - Pytali nawet, ilu mamy robotników.

Juan dodał pomidory do sałatki;

- I co im powiedziałaś?

- Nic konkretnego. - Starsza kobieta wzięła od bliźniaczek formę z zapiekanką i wsunęła ją do pieca. -

Chciałam im poradzić, żeby nie wtykali nosa w nie swoje sprawy, ale się powstrzymałam. Ten wyższy miał takie zimne oczy. Nie budził zaufania.

- Pewnie pracuje dla któregoś z miejscowych bogaczy - westchnęła Lourdes. - Ciągłe tylko patrzą, komu mogliby ukraść ziemię.

- Dajcie mi znać, gdyby pojawili się znowu - poprosił Juan.

- Dobrze.

Kiedy Caco wyszła z kuchni, by nakryć do stołu, popatrzył na Lourdes.

- Nie podoba mi się to - powiedział.

- Co?

- Obcy zadający pytania.

- To nie pierwszy raz. Zdarzało się już nawet, że pytali o cenę rancza.

- Mimo to mnie to niepokoi. Nie rozmawiaj z nikim pod moją nieobecność. I nie pokazuj nikomu koni, chyba że będę w pobliżu.

Lourdes zaczęła napełniać tortille, pokazując dziewczynkom, jak należy to robić.

- Chcesz mnie chronić przed miejscowymi bogaczami, Juan?

- Oczywiście. - Uśmiechnął się szelmowsko, ale nadal nie czuł się uspokojony. - Chcę chronić was wszystkie.

Lourdes, Caco, Amy i dziewczynki, pomyślał. Nową rodzinę, której oddał serce.

- Będę ostrożna - zapewniła Lourdes. - Nie dam się wywieść w pole.

Czy mężczyzna o zimnych oczach zamierzał ją jedynie oszukać? A może chciał jej wyrządzić znacznie poważniejszą krzywdę? Juan nie potrafił się otrząsnąć z niepokoju. Miał przeczucie, że nieznajomy jeszcze wróci.

Parę godzin później Tyler Murdoch siedział w biurze szeryfa na spotkaniu, które zorganizował. Wszyscy obecni - szeryf Justin Wainwright, podpułkownik Phillip Westin, wysłannik ATF Cole Yardley i agentka FBI Elise Campbell - mieli już do czynienia z Rickym Mercadem.

Żona szeryfa była jego bliską znajomą od czasów młodości - fakt, który Wainwright po długim czasie nauczył się akceptować. Westin był dowódcą Mercada, natomiast Yardley i Campbell śledzili jego poczynania w handlu bronią.

Westin odezwał się pierwszy.

- Powiedz, co ci leży na wątrobie, Murdoch.

Tyler wyprostował się odruchowo. Podpułkownik był również jego dowódcą i człowiekiem, którego szanował i podziwiał.

Człowiekiem, którego uratowali z niewoli wraz z Mercadem. Z

drugiej strony sami zawdzięczali życie jemu. Doprowadził do ich uwolnienia wtedy w Zatoce.

- Dzisiaj rano widziałem faceta, który wyglądał jak Ricky, w towarzystwie mojej dawnej znajomej.

Cole Yardley poderwał się na krześle. -Gdzie?

- W sklepie z częściami samochodowymi. Yardley zamrugał.

- I co robił?

- Pewnie coś kupował. - Tyler napił się kawy. - Nie twierdę, że ten gość to Mercado.

Yardley westchnął ciężko.

- Mercado jest w poważnych kłopotach.

- Sam się w nie wpakował. - Tyler nie mógł się powstrzymać od cynizmu.

- Tak, ale tym razem jest niewinny - przyznał drugi mężczyzna. - Żle go ocenialiśmy.

Tyler zerknął na Westina. Podpułkownik od początku wierzył w niewinność Mercada; w to, że nie był on zamieszany w szmugiel broni z Teksasu do Mezcaya, rządzonego przez terrorystów państewka w Ameryce Południowej.

Niech to szlag. Tyler od początku zakładał winę Mercada. Było jednak powszechnie wiadome, że Ricky nie zawsze porusza się w granicach prawa. Urodził się w jednej z najbardziej znanych rodzin gangsterskich w kraju i przez wiele lat służył jako pomniejszy szef mafii.

- Mercado został wrobiony - rzucił Yardley.

- Przez kogo?

- Johna Valente.

- Nowego ojca chrzestnego? Gościa, który przejął interes po Franku Del Brio?

Tyler wiedział, że Mercado przyczynił się do zdjęcia starego bossa. Sam również brał udział w tej akcji. Del Brio porwał małą siostrzenicę Ricky'ego oraz Luke'a Callaghana, kolejnego eks-marine i kumpla Mercada. Ricky zjawił się w ostatniej chwili, tuż przed śmiercią Del Briar.

- Ricky nie znosił starego od samego początku, ale z Valentem dogadywali się nieźle.

- To nie do końca prawda - wtrąciła agentka Campbell, elegancka płomiennowłosa kobieta obdarzona nie tylko urodą, lecz także inteligencją. - Valente zorganizował linię przerzutową i wplątał w to Mercada, by doprowadzić do jego upadku.

- Czemu?

- Z tego, co wiem, to jakieś osobiste porachunki - wtrącił Yardley. - Valente się tym nie chwalił, ale był zazdrosny o Mercada. Poszło o kochankę tego pierwszego.

- Mercadó mu ją odbił?

- Nie, próbował tylko chronić. Valente źle ją traktował, a Ricky miał tyle odwagi, że mu to wypomniał.

- Najwyraźniej Valente postanowił ukarać oboje -wtrącił szeryf Wainwright. - Siedział jednak cicho, knując zemstę. Zresztą niedawno

go aresztowaliśmy razem z jego głównymi współpracownikami za udział w szmuglu.

- Kiedy?

Agent ATF cierpliwie odpowiadał na wszystkie pytania Tylera.

- Dzisiaj o świcie.

- A co z kochanką?

- Jest bezpieczna. Większy kłopot mamy z Mercadem. Tyler nachylił się w przód.

- Bo go wciąż nie namierzyliście?

- Właśnie. I ponieważ nie wiemy, czy w ogóle żyje.

- A czemu miałyby nie żyć?

W tym momencie jednak przerwał im pilny telefon. Murdoch czekał niecierpliwie na dalszy ciąg.

Juan skończył naprawę wozu i poszedł nakarmić konie. Po drodze tarł czoło, czując nadciągający ból głowy. Stres, pomyślał. Wciąż nie mógł zapomnieć mężczyzny o zimnych oczach. Ostro zarysowane brwi, orli nos, szarobrazowe włosy zaczesane do tyłu. I te stalowe oczy. Nakarmił kolejnego konia.

Skąd u diabła zna jego rysy i kolor oczu? Bo go widział, stał z nim twarzą w twarz. Tylko kiedy i gdzie? Znowu pomasaował skronie. Tamtej nocy, gdy go pobili. Kiedy uciekł... swoim zabójcom.

Nagle już pamiętał, kim jest. Jak się nazywa. Czym się zajmuje. I wiedział, na jakie niebezpieczeństwo naraża wszystkich mieszkańców rancza.

Zostawił zwierzęta samym sobie i pobiegł na poszukiwanie Lourdes. Serce mu waliło, oddychał z trudem. Nie zabiliby niewinnej kobiety, chyba że stanęłaby im na drodze. Chyba że... Nareszcie ją zobaczył. Wyszła z padoku, otrzepując dłonie o spodnie. Na jego krzyk odwróciła się, odgarniając z twarzy pasmo włosów.

Chciał się opanować, lecz nie potrafił. Jego umysł wirował, setki wspomnień kłębiły się chaotycznie. Co on zrobił, na miłość boską, co zrobił!

Podbiegł do Lourdes i chwycił ją za rękę. Jego własne drżały silnie ze wzburzenia i strachu. Ze wstydu, z przerażenia własną tożsamością.

- Co się stało? - Ścisnęła mocno jego dłonie. - Juan, powiedz.

Nie wiedział, od czego zacząć. Wspomnienia zalewały jego mózg. Chciał krzyczeć, płakać, upaść na kolana i błagać Boga o przebaczenie.

- Musimy jechać do domu. Pociągnął ją w stronę wozu.

- Juan, przerażasz mnie.

- To mordercy, Lourdes. Ci ludzie, którzy tu dzisiaj byli.

- Co ty wygadujesz? - Głos jej się załamał.

On jednak wiedział, że to prawda. Poszukał kluczyków.

- Mają na mnie kontrakt. Porachunki mafijne. Lourdes wyglądała, jakby zaraz miała zemdleć. Jej twarz zrobiła się kredowobiała w popołudniowym świetle.

- Muszę zadzwonić do szeryfa - wyjaśnił. - Zapalił silnik i ujął kierownicę. - Powinienem był od razu się zgłosić na policję.

Ale tego nie zrobił. Uciekał przed prawdą o sobie, przekonywał sam siebie, że jest honorowym człowiekiem, że nigdy nie był przestępcą.

- Przepraszam. Przepraszam.

Po twarzy Lourdes płynęły łzy.

- Kim jesteś? Kim jesteś, do cholery?!

Łajdakiem, pomyślał. Sukinsynem, który doprowadził zabójców pod jej drzwi.

- Nazywam się Ricky Mercado.

- To mi nic nie mówi!

Prawie krzyczała, trąc załzawione oczy. Wiedział, jak bardzo ją przeraził.

- Wszystko będzie dobrze. - Próbował dodać otuchy jej i sobie. - Szeryf skontaktuje się z FBI, przyśle kogoś na ranczo.

- Czemu mafia cię ściga? Dotarli przed dom.

- To skomplikowane. Pogadamy o tym, jak się rozmówię z szeryfem. -

Kiedy będzie pewien, że ona i dzieci są bezpieczne.

Weszli do środka kuchennymi drzwiami; Lourdes wbiegła przodem. Próbował ją powstrzymać, ale umierała z niepokoju o dzieci. Zamarł, słysząc jej krzyk.

Bliźniaczki siedziały skulone na podłodze w kuchni obok Amy i Caco, a niski, krępy mężczyzna celował do nich z pistoletu. Drugi, wyższy, o stalowych oczach, wymierzył broń w Ricky'ego.



- Nie ruszaj się, Mercado. A ty - ruch głową w kierunku Lourdes  
- na podłogę obok reszty.

Osunęła się na ziemię i objęła dzieci.

Ricky usłyszał ich kwilenie, a potem Zimnooki wycelował w niego i pociągnął za spust.

Scandalous

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Tyler powtórzył pytanie:

- Czemu Mercado miałby nie żyć?

Yardley schował telefon komórkowy do kieszeni.

- Bo Valente nasłał na niego zabójców.

- Dobry Boże.

Murdochowi stanęły przed oczyma wszystkie misje, w których brał udział z Mercadem, wszystkie lata braterstwa.

- Wiemy, że Valente nie wynajął regularnych zabójców mafii, tylko umówił się z kimś na boku. Więc Mercado albo już nie żyje, albo sfingował własną śmierć, żeby uniknąć gniewu Valentego. W stodole na obrzeżach miasta znaleźliśmy ślady jego krwi. - Agent ATF poprawił się na krześle i podjął wyjaśnienia. - Sądzymy, że Mercado prowadził własne śledztwo; szukał dowodów na potwierdzenie swojej niewinności. A kiedy dotarł zbyt blisko do prawdy, Valente wynajął morderców.

Tyler zaklął. Widział, jak zaniepokojony jest Yardley. Najwyraźniej agent czuł się w jakiś sposób odpowiedzialny za całą sytuację. Za to, że nie zaufał niewinnemu człowiekowi. Ricky upierał się przy tym cały czas; twierdził, że zerwał związki z mafią.

- Więc jeśli Mercado nie zginął, nadal znajduje się w niebezpieczeństwie.

Yardley przytaknął.

- Jak wspominałem, aresztowaliśmy Valentego, lecz to nie ocali Mercada. Valente nie przyznaje się, by zlecił zabójstwo swego podwładnego, nie mówiąc już o jego odwołaniu.

Tyler zaklął; Yardley zawtórował.

- Więc o co chodzi z tym gościem, którego widział pan w sklepie z częściami?

- Wiem tylko, że kobieta, z którą był, wydawała się w nim zakochana po uszy.

- Lepiej ją przesłuchajmy - rzucił szeryf.

- Zgadzam się - poparł go Yardley i spojrzał na Tylera.

- Sądzi pan, że istnieje szansa jedna na milion, że ten facet to Mercado?

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Ale z pewnością ruszał się tak jak on i z daleka wyglądał jak on.

- Warto spróbować. - Yardley podniósł się z miejsca.

- Jak się nazywa ta kobieta?

- Lourdes Quinterez; ma ranczo pod miastem, kawałek za mleczarnią.

Szeryf sięgnął po kapelusz.

- Ruszajmy.

Tyler szedł za pozostałymi pogrążony w myślach. Czy zastaną Mercada na ranczu? W tej chwili Ricky Mercado, lojalny eks-marine i czarna owca Nieustraszonej Piątki, równie dobrze może leżeć gdzieś martwy.

- Bolało, Mercado?

Zimnooki przyglądał mu się z uwagą. Kula tylko drasnęła go w ramię, lecz czuł krew przesiąkającą przez koszulę. I ból.

- To powierzchowna rana - powiedział na tyle głośno, by usłyszały go Lourdes, Caco, Amy i bliźniaczki. Nadal kuliły się na podłodze. Krzyknęły, słysząc strzał, lecz teraz się nie odzywały, zapewne przytłoczone strachem.

Ricky znajdował się w jadalni, skąd widział jedynie nogi Lourdes.

Zimnooki uśmiechnął się złośliwie.

- Nie żartujesz? Ciekawe, czy następna rana będzie poważniejsza.

Więc o to chodzi. Zimnooki zamierza go torturować, strzelać w ręce i nogi, by cierpiał jak najdłużej, by się wykrwawił przed ostatnim, śmiertelnym strzałem. Większość zabójców nie bawiła się długo ze swoimi ofiarami. Ale niektórzy tak.

- Co sądzisz o naszym zabezpieczeniu?

Ricky'emu zaschło w ustach. Zabezpieczenie. Lourdes i jej rodzina. Nie mogą tego zrobić. To złamanie zasad. Mafia nie krzywdzi niewinnych kobiet i dzieci. Spojrzał na niższego z mężczyzn: stał niczym żołnierz, skoncentrowany na zadaniu. Jeden fałszywy ruch i zastrzeli zakładników.

Ludzi, których Ricky nauczył się kochać. Nie może zgrywać bohatera. Nie może zaatakować dwóch uzbrojonych mężczyzn, bo zbłąkana kula może zranić któreś z dzieci. Musi wymyślić inny sposób, by ich ocalić, uwolnić Lourdes i pozostałych. Wiedział, że

zabójcy nie zostawią przy życiu żadnych świadków. Kiedy sam zginie, zakładnicy nie będą mieli szans.

- Zaczynam się nudzić - stwierdził Zimnooki. - Może powinienem ci przestrzelić drugie ramię.

- Nie rób tego. - Ricky pokręcił głową.

Drugi mężczyzna uniósł brwi.

- Błagasz o litość?

- Nie. - Użył jedyne argumentu, jaki mu pozostał.

- Proponuję ci układ.

- Słucham?

- Słyszałeś dobrze. - Nie ściśnie zranionej ręki, by zatamować upływ krwi. Nie da satysfakcji temu sadyście.

- Wzięliście już pieniądze za zabicie mnie. - Wiedział, że zabójców opłacano z góry. Wystarczająco długo należał do mafii, by się orientować w takich sprawach. - A ja wam proponuję szansę na dodatkowy zarobek.

- Słyszałem to nieraz. Nie ty pierwszy tego próbujesz. Co przekonało Ricky'ego, że Zimnooki zwykle torturował swoje ofiary, by się napawać ich błaganiami o litość.

- Mam miliony.

- I co z tego? Nie możemy tak po prostu sobie iść. Nasze życie nie byłoby warte złamanego centa.

- Wiem. - Zabójcy, który nie wykonał zadania, groziła śmierć. - Ale mogę ukartować własną śmierć. Zmienię wygląd i zniknę na zawsze. Nikt się nie dowie.

To jedyny sposób, pomyślał. Jedyny, by utrzymać przy życiu Lourdes i jej rodzinę.

- A co z kobietami? - spytał niższy. - Nic ich nie powstrzyma przed wychlapaniem wszystkiego.

- Lourdes zrobi wszystko, żeby ocalić resztę - odparł

Ricky. - Nic nie powie. A oni też będą milczeć. Zajmę się nimi.

- Więc zapłacisz im również, tak?

- W pewnym sensie. Tak.

Od samej myśli zrobiło mu się niedobrze, ale tylko w ten sposób mógł przekonać zabójców, że Lourdes nie stanowi dla nich zagrożenia.

Zimnooki pokręcił głową.

- Zwariowałeś, Mercado.

- Wcale nie - wtrącił się jego kumpel. - Ma forsy jak lodu i może sobie na to pozwolić. Jego wuj był jednym z najbardziej szanowanych gości w tym biznesie.

- Jego wuj nie żyje.

- Proponuje nam świetny układ - przekonywał Krótki.

- To jakaś gierka.

- Jaka gierka? Zginie albo zniknie. Wyniesie się na jakąś tropikalną wyspę. Co byś wybrał?

- Robi nas w konia, durniu. Przy pierwszej okazji poderżnie nam gardła.

Krótki odpowiedział stekiem wyzwisk i za chwilę obaj zabójcy kłócili się zawzięcie. Dzieci rozplakały się na cały głos; gniewne krzyki przeraziły je bardziej niż strzał.

Z krwią ciekącą mu po ręce, Ricky modlił się, żeby los stanął po jego stronie; żeby Zimnooki nie wpadł w szal i nie zaczął strzelać na oślep, zabijając Wszystkich włącznie z Krótkim, który chętnie by przyjął ofertę. Który chętnie pozwoliliby im przeżyć.

Coś było nie tak. Tyler i reszta grupy zorientowali się od pierwszej chwili. Na ganku od frontu widać było ślady walki: porzuconą miotłę, zgubiony but, połamane zabawki, stłuczoną doniczkę. Kogoś zawleczono do środka; kogoś, kto zamiatał przed domem. Starszą kobietę, sądząc po bucie. I dzieci. Boże, dzieci.

- Mają zakładników - rzucił Tyler.

Yardley skinął głową; w ręce już ścisnął pistolet. Z domu dobiegły głosy; płacz dzieci, sprzeczka dwóch mężczyzn. Westin zaofiarował się, że przeprowadzi rekonesans w stodołach i zabudowaniach gospodarczych i wróci najszybciej, jak się da. Yardley i Campbell zajęli pozycję na tyłach domu. Szeryf i Tyler zostali od frontu. Kiedy wszyscy zorientują się w sytuacji, dowiedzą się, gdzie są trzymani zakładnicy, Tyler spróbuje nawiązać kontakt z dawnym kumplem.

O ile ten jeszcze żyje.

W miarę jak czas płynął, Ricky łamał sobie głowę nad kolejnym planem. Kłótnia stawała się coraz zajadlejsza. Dzieci zanosły się od szlochu.

Ricky bał się coraz bardziej, że ktoś wystrzeli. Zimnooki celował w niego z pistoletu, lecz równocześnie krzyczał na Krótkiego, który wrzeszczał w odpowiedzi. Dłoń Krótkiego drżała, lecz Zimnooki trzymał swoją pewnie, nawet kiedy podnosił głos.

- Niech ktoś uciszy- te bachory - warknął w pewnej chwili. - Inaczej ja to zrobię.

Lourdes musiała usłuchać, bo bliźniaczki umilkły. Od tej chwili zakładnicy milczeli. Krótki wyładowywał gniew na Zimnookim. Chciał pieniędzy, milionów Ricky'ego. Mercado spojrzął w kierunku kuchni. Nadal widział nogi Lourdes, jej buty. Chciał do niej podejść, wziąć ją w ramiona. Ale nie mógł.

Błysk w oknie jadalni przyciągnął jego wzrok. Okiennice były nieznacznie uchylone - akurat tyle, by wpuścić do środka promień słońca. Lecz to światło mrugało; zapalało się i gasło.

Zimnooki niczego nie zauważył. Ricky patrzył.

Błysk. Błysk. Pauza. Dwa błyski.

Serce zabiło mu gwałtownie. To ktoś z jego dawnej jednostki. Kod, który obmyślili kiedyś wspólnie. Zaczął odczytywać wiadomość: Murdoch. Westin. Szeryf. ATF. FBI. Przybyli na pomoc, żeby uwolnić zakładników.

Uniósł dłoń i dotknął czoła, dając Murdochowi sygnał, że odebrał wiadomość. Nie widział go, ale wiedział, że kolega obserwuje go przez okno. Światło zaczęło błyskać znowu. Wszystkie wejścia obstawione, mówiło. Daj znać kiedy.



Zimnooki znowu podniósł głos, każąc Krótkiemu się zamknąć. Krótki odparł, by się wynosił prosto do diabła, po czym najwyraźniej zdecydował, że sam go tam pośle, i wycelował w niego broń, zapominając o zakładnikach.

To było to. Ricky zasygnalizował do Murdocha: teraz, teraz, teraz. Jeśli polecą kule, Lourdes i jej rodzina nie znajdą się na linii ognia.

Nagle rozpętało się piekło. W chwili kiedy do środka wkraczała odsiecz, Krótki strzelił do Zimnookiego. Mężczyzna padł na ziemię, ale nie zginął. Nie odpowiedział ogniem współnikowi, zamiast tego wycelował w Ricky'ego. Nie dopuści, żeby Krótki dostał swoje miliony.

Za późno, pomyślał Ricky, rzucając się na niego. Nikt nic nie dostanie. Wytrącił broń drugiemu mężczyźnie i zaczął z nim walczyć, by mu uniemożliwić podniesienie pistoletu. Przetaczali się po drewnianej podłodze; ramię paliło Ricky'ego żywym ogniem, lecz nie zwracał uwagi na ból. Pochwycił szybki ruch i zorientował się, że Westin i Murdoch mają Krótkiego. W kuchni szeryf zajmował się zakładnikami.

Kopnął Zimnookiego w krocze, Zanim tamten zdążył się zwinąć z bólu, na jego nadgarstkach zatrzasnęły się kajdanki, nałożone zręcznie przez Yardleya.

Było po wszystkim.

Ricky nie zgodził się pojechać do szpitala. Zamiast tego kazał się opatrzyć Murdochowi. Czym tu się przejmować? W porównaniu z raną w jego sercu ta na ramieniu zdawała się zadrapaniem.

Szeryf Wainwright, jego zastępca i załoga wezwanej karetki odjechali już dawno. Zostali Westin i Murdoch, Yardley oraz agentka Campbell, która rozmawiała właśnie z Lourdes, Caco, Amy i dziećmi, pomagając im się uporać ze strasznymi przeżyciami.

Ricky widział Lourdes i bliźniaczki tylko przelotnie. Zabrała drżące dzieci do innego pokoju, kiedy tylko wyprowadzono obu zabójców. Rozmawiał z Westinem, Murdochem i Yardleyem. Opowiedział o swojej amnezji i odzyskaniu pamięci, oni wyjaśnili, jak wygląda obecnie sytuacja. Dowiedział się o aresztowaniu Valentego i o tym, że jego najbliższy wspólnik Xavier Gonzalez nadal znajduje się na wolności.

- Gdzie się ukrył?

- Kiedy się zorientował, że sieć się zaciska, wrócił do Mezcaya - wyjaśnił Yardley. - Nie możemy go ścigać na terytorium innego kraju.

Ricky zerknął na Westina, który miał z mafiosem zadawnione porachunki osobiste.

- Zamierza pan na niego zapolować?

Westin stał obok okna; jego rosła, krępa sylwetka odcinała się ciemno w zapadającym zmierzchu.

- Jak cholera.

- Niech mnie pan weźmie ze sobą. Proszę tylko dać znać, kiedy i gdzie, zjawię się na pewno.

- Na pewno dasz sobie radę, Mercado? Skinął głową.

- Na pewno.

To, z czym nie mógł sobie dać rady, to nieobecność Lourdes; to, że nie może jej dotknąć.

- Jestem panu winien przeprosiny. - Yardley, agent ATF, który uważał go za głównego podejrzanego w sprawie handlu bronią. - Przez wiele tygodni utrudniałem panu życie.

- Miał pan dowody wskazujące na moją winę.

- Spreparowane przez Valentego.

- To już skończone. Poza tym odwdzieczyłem się panu.

Yardley przechylił głowę.

- Tak?

- Pewnie. - Ricky uśmiechnął się lekko. - Za każdym razem, kiedy widziałem pana w towarzystwie agentki Campbell, byłem dla niej niezwykle uprzejmy. Wiedziałem, jak to pana wkurza. Dalej pan do niej uderza?

- Nie. - Agent ATF wyszczerzył zęby. - Dałem sobie z nią spokój. Oczywiście wcześniej musiałem się z nią ożenić. I zrobić jej dziecko.

Westin pogratulował mu, Tyler Murdoch uśmiechnął się szeroko.

- Niezła robota, chłopie.

- To był jedyny sposób, żeby ją przy sobie utrzymać - zażartował przyszyły ojciec.

Ricky wstrzymał oddech, czując skurcz serca. Stracił Lourdes. Wszystkie jego plany na przyszłość, wszystkie marzenia na nic.

Murdoch spoważniał.

- Hej, Mercado, ja też przepraszam. Że cię potraktowałem jak ostatniego śmiecia, kiedy cię ostatnio widziałem. Że ci nie wierzyłem.

Ricky wzruszył ramionami. Nie wiedział, co odpowiedzieć, tym bardziej że dawne związki z mafią miały go prześladować przez resztę życia. Długiego, ponurego życia bez Lourdes. Ledwie na niego spojrziała po tym, na co naraził jej bliskich.

Nadeszła Elise Campbell i Yardley natychmiast się do niej przysunął. Ricky miał ochotę dać mu w zęby. Szczęśliwy łajdak. Cholera, miał ochotę walnąć też Westina i Murdocha. Wszyscy wrócą do domu do swoich żon; do kobiet, które ich kochają. Elise spojrziała na niego, -Dzieci chcą z tobą porozmawiać.

- Naprawdę? Skinęła głową.

- Ciągle do siebie nie doszły, ale chyba możesz je trochę uspokoić.

- Dzięki, że im pomogłaś.

Wiedział, że potraktowała Lourdes i pozostałych delikatnie i ze współczuciem, pomagając się im uporać ze strasznym wspomnieniem. Przeprosił pozostałych i ruszył do sypialni Lourdes, gdzie się schroniły.

Otworzył drzwi, niecierpliwiąc się, by je zobaczyć, lecz zarazem bojąc się odrzucenia przez Lourdes.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kiedy wszedł do pokoju, serce skoczyło Lourdes do gardła. Nagle nie mogła oddychać, nie mogła myśleć. Gdy usłyszała strzał, sądziła, że zginął. Sądziła, że mężczyzna, którego kocha, leży na ziemi w kałuży krwi. Nadal go kochała, lecz przerażał ją świat, w którym żył. Jego przeszłość, jego przyszłość. Wszystko.

Stał na środku pokoju bez koszuli, z zabandażowanym ramieniem. Chciała go dotknąć, przesunąć palcami po linii jego szczęki, utrwalić sobie w pamięci rysy jego twarzy. Nie wiedziała jednak, jak to zrobić, by się przy tym nie rozplakać. By nie tęsknić za tym, co oboje stracili.

Jej córeczki, które tuliły się do niej na łóżku, podniosły na niego wzrok. Chciały go zobaczyć, lecz nagle jakby się zawstydziły tego mężczyzny, którego tak bardzo chciały nazywać tatą. Caco i Amy również znajdowały się w pokoju. Amy siedziała przed toaletką, Caco kołysała się na starym fotelu bujanym, na którym Lourdes zwykle usypiała bliźniaczki. Amy odezwała się pierwsza.

- Całkiem jak w Rodzinie Soprano. Nie wierzę, że to było naprawdę. Mało nie umarłyśmy ze strachu.

Juan podszedł bliżej. Nie, nie Juan, pomyślała Lourdes. Ricky, Ricky Mercado.

- Przepraszam - powiedział.

Amy patrzyła na niego szeroko otwartymi, błyszczącymi oczami.

- Nic się nie stało. Jesteśmy wszystkie całe i zdrowe. - Zaśmiała się nerwowo. - Poza tym lubię Rodziną Soprano. Fajny serial.

Lourdes wstrzymała oddech. Fajny ? Nie ma nic fajnego w tym, że się kocha mężczyznę, który okazuje się szefem mafii. Elise Campbell opowiedziała jej o przeszłości Ricky'ego. Dowiedziała się wielu rzeczy. Że był zamieszany w handel bronią, ale okazał się niewinny. I że zerwał związki z mafią. Jak to możliwe? Czy można tak po prostu pewnego dnia z tym skończyć i przez resztę życia nie oglądać się nerwowo przez ramię?

Nina przysunęła się na skraj łóżka. Nosek wciąż jeszcze miała czerwony po płaczu, oczy zapuchnięte.

- Ta miła pani powiedziała, że źli panowie już nie przyjdą. To prawda? - zapytała Ricky'ego.

- Prawda. - Poglądził ją po policzku. - Już po wszystkim, skarbie.

Wstała, żeby ją przytulił. Objął ją, na jego twarzy malowało się wzruszenie.

- Myślałyśmy, że ten zły pan cię zabił. I że nas też zabije.

Przytulił ją mocno do piersi i zaczął lekko kołysać.

- To się już nigdy nie powtórzy. Jesteście całkiem bezpieczne.

- Bardzo cię boli ręka? Uśmiechnął się blado.

- Trochę. Nie bardzo.

Teraz Paige zbliżyła się po swoją porcję pieszczot. Objął ją drugim ramieniem, zranionym.

- Kocham was - szepnął. -I zawsze będę was kochał.

Lourdes wiedziała, że one też go kochają. Lecz dzieciom miłość przychodzi łatwiej. Ricky wciąż był dla nich Juanem.

Tuląc do siebie bliźniaczki, podniósł wzrok na nią; Lourdes mogła niemal poczuć dręczący go ból. Taki sam ból przeszywał jej serce. Znowu byli sobie obcy. Ona i Ricky Mercado tak naprawdę się nie znali.

Dziewczynki wyswobodziły się z jego uścisku.

- Wiesz co? - zaczęła paplać Nina. - Kiedy ten brzydki pan nas złapał na ganku, Caco uderzyła go miotłą. Ale ten drugi brzydki pan złapał ją.

Ricky spojrział na starszą kobietę; westchnęła.

- Zamiatalam przed domem. Amy oglądała w domu telewizję. Zupełnie nas zaskoczyli.

Zmarszczył brwi.

- Bardzo mi przykro. Nigdy nie wystawiłbym was na niebezpieczeństwo.

- Wiem. - Podniosła się z fotela. - Mogę obejrzeć twoje ramię? Skinął głową; Lourdes widziała, jak wiele dla niego znaczy, że Caco przejmuje się jego raną.

- Twój przyjaciel dobrze się postarał. Ale mogę przyrzadzić wywar, żeby to się szybciej zagoiło.

- Dziękuję.

Caco wyszła - udając, że wszystko znowu będzie dobrze, pomyślała Lourdes. Że wrócą do dawnego życia. Ale to niemożliwe.

Juan Guapo zniknął. A na jego miejscu stał Ricky Mercado - wysoki, mroczny, niebezpieczny mężczyzna.

Mężczyzna, którego kochała, lecz bała się przy sobie zatrzymać.

Zapadł wieczór. Murdoch, Westin i agenci wyjechali już dawno, lecz Ricky został, chcąc porozmawiać z Lourdes na osobności.

Czekał na nią na ganku. Pocałował już bliźniaczki na dobranoc i wypił napar Caco. Zamienił parę słów z Amy, która nie mogła się doczekać, by opowiedzieć przyjaciółom o swojej przygodzie.

Lourdes wyszła z domu. Miała na sobie dżinsy i cienką bluzkę, włosy spadały swobodnie. Wyglądała pięknie, krucha i delikatna.

- Dziewczynki zasnęły? - spytał.

- Tak, Caco zabrała je do swojego pokoju.

- Przykro mi - powtórzył setny raz tego dnia.

Dreńczyły go wyrzuty sumienia za to, co zrobił Lourdes i jej bliskim. Kobieta stała objęta ramionami, jakby pragnąc pocieszyć sama siebie. Chciał ją przytulić, wziąć w ramiona, wiedział jednak, że Lourdes boi się go teraz. Na koniec usiadła obok niego i razem zapatrzyli się w noc. Księżyc wisiał na niebie, jego promienie przenikały przez skrzycone gałęzie drzewa rosnącego na podwórzu.

- Miałeś wysoką pozycję w mafii, prawda? Jeden z tych morderców wspomniał, że twój wuj był... szanowanym szefem.

Poczuł skurcz wstydu. Zauważył, że zawahała się przy słowie „szanowany”.



- Wuj Carmine rządził przez wiele lat. Miał na mnie wielki wpływ. Czasem wydawał mi się ojcem w większym stopniu niż mój prawdziwy tato.

- Jak umarł?

- Na zawał.

- A co się dzieje z twoim ojcem?

- Żyje. To dobry człowiek, ale brak mu silnej woli. Pozwala wszystkim sobą pomiatać.

- Twój wuj nie pozwalał?

- Nie. Potrafił dać sobie radę w każdej sytuacji. - Zastanowił się chwilę, przywołując obraz wuja. - Był szefem w dawnym stylu; prawdziwym ojcem chrzestnym.

Rozumiał, że Lourdes chce wiedzieć to wszystko, próbuje go zrozumieć.

- Zawsze kochałem mafię i zarazem jej nienawidziłem. Kiedy byłem mały, chciałem do niej wejść, chociaż wiedziałem, że to złe. Ojciec posłał mnie do akademii wojskowej w Wirginii, żeby mi wybić z głowy te ciagoty.

Nadal przyglądała mu się uważnie.

- Ale to nie poskutkowało?

- Wuj Carmine wybrał mnie na swojego zastępcę. Ale to nie cała prawda. Kiedy sądziłem, że moja siostra zginęła, oszalałem z żalu. To mnie zbliżyło do rodziny, do świata przestępczego. Oskarżałem o jej śmierć moich kumpli z wojska i nie mogłem dłużej znieść ich towarzystwa. - Westchnął ciężko. - Ale moja siostra w rzeczywistości

nie zginęła. Upozorowała własną śmierć, żeby się wyrwać z łap Franka Del Brio, swojego narzeczonego. On też należał do mafii. Jeden z największych łajdaków, jacy chodzili po ziemi.

- Twoja siostra żyje?

- Tak. Ale dowiedziałem się o tym dopiero w ubiegłym roku.

Dlatego ciągle mieszały mi się wspomnienia o niej.

Teraz jednak pamiętał każdy szczegół; pamiętał, jak płakał nad zwłokami Haley, które naprawdę nie były jej zwłokami. To kolejna rzecz, z jaką się musiał uporać: chciał porozmawiać z siostrą; wyjaśnić jej, jak bardzo się zmienił.

- Nie próbuję się usprawiedliwiać, Lourdes. Nikt mnie nie zmuszał, żebym się przyłączył do mafii. Byłem młody i arogancki, lubiłem szybkie życie.

Zacisnęła dłonie na kolanach.

- Aresztowali cię?

- Nie.

- Ale popełniałeś przestępstwa?

- Tak - przyznał z trudem, ale szczerze. - Miałem własną grupę, która dla mnie pracowała; wykonywała różne polecenia.

- Na przykład?

Wiedział, że Lourdes zasługuje na szczerą odpowiedź.

- Hazard, wymuszenia, narkotyki, broń, przemyt papierosów, ukrywanie kradzionego towaru, porywanie samochodów.

- Robiłeś to wszystko?

- Nie. - Pokręcił głową. To było gorsze niż przesłuchania policyjne, gorsze niż krzyżowy ogień pytań. To była kobieta, którą kochał, z którą nadal chciał się ożenić. - Trzymałem się z dala od handlu prochami i bronią oraz wymuszeń.

- Zostaje hazard, szmugiel, kradzież samochodów, ukrywanie kradzionego towaru... - jej głos ucichł.

Pasmo włosów opadło jej na policzek. Odgarnęła je ruchem dłoni. Ponieważ milczała, zaczął mówić dalej:

- Gdyby nie Haley, pewnie bym wylądował w więzieniu. W tajemnicy zaczęła współpracować z policją, żeby pomóc w ujęciu Franka Del Brio. W zamian za to obiecali wolność tacie i mnie. Carmine był chory, a po jego śmierci szefem został Frank. Ja nie chciałem rządzić, ale nie chciałem też pracować dla niego. Nie ufałem Frankowi. Zostałem tylko po to, by go mieć na oku. Zdaje się, że on trzymał mnie przy sobie z tego samego powodu. Zaczął podejrzewać Haley i dlatego chciał mieć w ręku jej brata.

- Od jak dawna nie jesteś w mafii?

Przez chwilę zastanawiał się nad jej pytaniem.

- W głębi serca opuściłem ją wiele lat temu. Faktycznie minęło dopiero jakieś cztery, pięć miesięcy.

- A morderstwa?

Serce niemal stanęło mu w piersi. Pyta go, czy kogoś zabił? Ból był prawie nie do zniesienia.

- Nigdy nikogo nie zabiłem.

- Mafia czasem morduje ludzi.

- Tak, ale to, co się tu dzisiaj zdarzyło, było wbrew wszelkim regułom, i Valente za to zapłaci. Nawet jeśli zostanie uniewinniony, ktoś z rodziny go dopadnie. Cholera, dopadną go nawet w więzieniu. A jeśli moi chłopcy postawią na swoim, ci dwaj zabójcy mogą się już uważać za martwych.

- Więc znowu rozmawiamy o morderstwie. To przerażające.

Tak, pomyślał. Wybrałem przerażające życie. Lourdes odwróciła głowę; milczeli oboje. Czy już zawsze będzie w nim widzieć jedynie przestępcę? Szefa mafii?

- Przypomniałem sobie, skąd mam twój krzyżyk. I czemu zacząłem go nosić.

Spojrzała na niego. Tak bardzo pragnął jej dotknąć, przytulić do siebie i już nigdy nie wypuszczać z objęć. Było jednak za późno.

- Opowiedz - poprosiła. Poruszył się na krześle.

- Miałem jakieś interesy z tym lombardem. Niezbyt czyste. Właściciel handlował dla mnie kradzionymi fantami.

Przyglądała mu się bez słowa.

- W jednym z pudełek zobaczyłem ten krzyżyk. Nie był kradziony, w każdym razie tak mi się wydawało. Nie wiedziałem, że facet, który go zastawił, ukradł go swojej żonie.

Lourdes, pomyślał.

- Tamtego dnia czułem się kompletnie zagubiony, szukałem czegoś, na czym mógłbym się oprzeć. Kiedy oglądałem krzyż, zobaczyłem napis.

- *Aby cię chronił*- powiedziała Lourdes.

- Właśnie. - Przypomniał sobie, jakie ukojenie przyniosły mu te słowa. — Czułem się, jakby ktoś je wyrył specjalnie z myślą o mnie.

- I dostałeś go od właściciela?

- Nie. - Ricky pokręcił głową. - Proponował to, ale się nie zgodziłem. Uparłem się, że zapłacę. Nie chciałem, żeby krzyż miał coś wspólnego z brudnymi interesami, z moim życiem kryminalisty.

Czekał, w nadziei że kobieta wybaczy mu jego grzechy, lecz tego nie zrobiła. Kiedy wstał, milczała nadal.

- Wyjadę jutro rano. - Żałował, że musi to zrobić. - Zadzwonię do Westina i poproszę, by ci wypożyczył któregoś ze swoich parobków. Pewnie przyjedzie Juan.

- Juan?

- Nie mówi zbyt dobrze po angielsku, ale ty znasz hiszpański, więc nie będzie problemu.

- Dziękuję - powiedziała bardzo cicho. Ledwie ją słyszał.

Patrzył na nią ze ściśniętym sercem.

- Mogę uratować twoje ranczo, Lourdes. Mam mnóstwo forsy. Inwestowałem w nieruchomości. Jestem jednym z tych bogaczy, o których kiedyś wspominałaś. Tylko nie oszukuję innych.

Pomyślał, że brzmi to mało przekonująco, biorąc pod uwagę jego przeszłość.

- Proponujesz mi pożyczkę?

- Nie, spłatę długów. I tyle pieniędzy, by postawić farmę na nogi.

Wiatr znowu zwał jej włosy na twarz.

- Nie mogę przyjąć twoich pieniędzy.

- To nie są pieniądze mafii. Wszystko, co odziedziczyłem po wuju, rozdałem na cele dobroczynne. Zarobiłem uczciwie.

Inwestowałem przez wiele lat. - Mimo związków z mafią po Pustynnej Burzy założył własną firmę, wykorzystując umiejętności zdobyte w armii. Nie był tajnym agentem, ale miał swój udział w misjach.

- To by nie było w porządku, gdybym przyjęła od ciebie pieniądze. - Nadal mówiła bardzo cicho.

Wsunął ręce do kieszeni. Bolało go, że Lourdes nie chce jego pomocy; nie zgadza się, by jej ulżył w trudnościach. Zdobył pieniądze, ryzykując życie, by sobie udowodnić, że potrafi pracować uczciwie.

- Powiedz wszystkim, że ich kocham i będę za nimi tęsknić.

Popatrzyła na niego; w jej oczach pojawiły się łzy.

- Więc to pożegnanie?

- Tak.

Chyba że mnie powstrzymasz, pomyślał. Chyba że mnie zawołasz. Nie zawołała.

Minęły trzy dni, lecz Lourdes nie mogła przestać o nim myśleć. Tęsknić za nim, zastanawiać się, co robi. Stała w kuchni, półprzytomna z niewyspania, niewidzącym wzrokiem wpatrując się w ekspres do kawy.

Był szefem mafii, powtarzała sobie tysięczny raz. Nie miłym facetem, którego mogłaby kochać. Nadal w snach prześladował ją obraz mężczyzny mierzącego do niej i dzieci z pistoletu.

Sięgnęła po kubek. Rozmawiała z Elise Campbell; agentka zapewniała, że nie grozi im już żadne niebezpieczeństwo. Potwierdziła też słowa Ricky'ego, że w mafii obowiązuje kodeks honorowy zabraniający brania zakładników. Lourdes nie była pewna, co o tym myśleć, czuła jednak ulgę, że są bezpieczne.

Kiedy nalewała kawę, łzy napłynęły jej do oczu. A Ricky? Czy też jest bezpieczny, czy może do końca życia pozostanie ściganą zwierzyną? Próbowwała opanować płacz, lecz na próżno. Kochała Ricky'ego i zawsze będzie go kochać.

Słyszając czyjeś kroki, otarła oczy. Amy, rozczochrana, w powyciąganej piżamie, wciąż wyglądała na wpół śpiącą.

- Płaczesz - stwierdziła.

Lourdes znowu przesunęła dłonią po twarzy.

- Nerwy odmawiają mi posłuszeństwa. Pewnie spóźniona reakcja na szok.

- Raczej tęsknisz za Juanem. To znaczy Rickim. -Dziewczynka zmarszczyła brwi. - Mnie też go brakuje.

Tęskniły za nim wszystkie. Bliźniaczki pytały o niego codziennie, a Caco zastanawiała się, czy pije jej napar. Nikt nie potrafił o nim zapomnieć.

- Martwię się o niego - przyznała Lourdes.

- To do niego zadzwoń. Lourdes westchnęła ciężko.

- Nie niepokoi cię jego przeszłość, prawda? Amy pokręciła głową.

- Nie powinnaś go idealizować. Był przestępcą. Dziewczyna skrzywiła się.

- Wcale go nie idealizuję. Ale podziwiam go za to, że potrafił zerwać z mafią. Umiesz sobie wyobrazić, jak to jest żyć w takiej rodzinie?

-Nie.

- Chciał, żebyś go poprosiła, by został. Lourdes zadrżała.

- Mówił ci o tym?

- Nie, ale łatwo się domyślić. Złamałaś mu serce.

Łzy znowu popłynęły z oczu Lourdes.

- Boję się go kochać. Boję się, że go stracę.

- Nie wiem, co ci na to powiedzieć. - Dziewczyna wzięła z koszyka bułkę z cynamonem i ułamała kawałek. - Może tylko to, że w życiu nie ma żadnych gwarancji. Możesz sobie znaleźć jakiegoś nudnego, spokojnego typu, a on zaraz po ślubie wpadnie pod autobus.

Lourdes omal nie roześmiała się w głos.

- Nie mam zamiaru wychodzić za żadnego nudziarza.

- Być może, ale za Ricky'ego też nie.

Przeszła jej ochota do śmiechu. Chciała za niego wyjść, z całego serca. Ale nie umiała stawić czoła jego groźnej przeszłości, niepewnej przyszłości.

- Chcę, żeby był bezpieczny.

- To niemożliwe.



- Wiem.

- Zadzwońisz do niego?

Popatrzyła na telefon, czując, jak lęk narasta.

- Nie.

- Więc co zamierzasz zrobić?

- Nie mam pojęcia. - Przypomniała sobie jego uśmiech, jego pocałunki, jego pieszczoty. - Nie wiem.

Scandalous

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Prawie tydzień później ktoś zadzwonił do drzwi Ricky'ego. W progu stała Haley, jego młodsza siostra, z małą córeczką na biodrze. Lena uśmiechnęła się szeroko, kiedy Ricky połaskotał ją po brzuszku.

Haley pozostała poważna.

- Unikasz mnie - oświadczyła. - Znikasz na cały miesiąc, a potem wydaje ci się, że mnie udobruchasz paroma nędznymi telefonami. Po tym, jak cię stłukli na kwaśne jabłko i postrzelili.

Nie był na to przygotowany. Nie chciał, by jego młodsza siostrzyczka patrzyła, jak rozpacza po zerwaniu z kobietą.

- Doskonale. Wchodź do środka i daj mi małą. Odsunął się na bok. Haley wyjęła z torby z pieluszkami plik listów i małą paczuszkę.

- Wyjęłam ze skrzynki twoją pocztę.

- Rzuć ją tam - wskazał zawalone papierami biurko pod oknem. ,

W całym mieszkaniu panował bałagan. Przed kilkoma tygodniami kupił uroczą starą farmę, wyobrażając sobie, że znalazł swoje miejsce na ziemi. Nie potrafił się jednak wziąć w garść, zabrać do remontu.

Haley siadła na sofie, on zajął miejsce na fotelu i posadził sobie Lenę na kolanach. Dziewczynka rozejrzała się za czymś do zabawy i w końcu ściągnęła taśmę mierniczą ze stołu. Uszczęśliwiona, wymachiwała pulchnymi rączkami, omal nie wybijając Ricky'emu oka. Prawdę mówiąc nic go to nie obchodziło.

- Nadal się farbujesz na blond - zwrócił się do siostry. Nie była to jedyna zmiana: miała też nieco inne rysy twarzy. Po pozorowanej śmierci otrzymała nową tożsamość. Dla niego wciąż jednak pozostała Haley, uwielbiającą go młodszą siostrzyczką. Przesunęła ręką po włosach.

- Chciałam zmienić kolor na taki jak zawsze, tylko jakoś nie mogłam się do tego zabrać. Za bardzo się martwiłam o ciebie.

- Wszystko ze mną dobrze.

- Wyglądasz kiepsko.

Skupił uwagę na siostrzenicy. Lena była równie ładna jak jej matka. Słodkie, rumiane dziecko w koronkowej sukience. Przytulił twarz do jej główki.

- Ricky, powiedz, o co chodzi.

- O nic.

- Tyler twierdził co innego.

Pięknie, więc Murdoch wypaplał o Lourdes. Nie mógł go zostawić w spokoju?

- Prawdę mówiąc, jest jedna rzecz, o której chciałem z tobą pogadać.

Poprawił na kolanach Lenę, Wdychając jej słodki zapach. Oddałby wszystko, żeby mieć córeczkę. Dwie córeczki. Bliźniaczki.

Haley rozsiadła się wygodniej.

- Słucham.

Nie był pewien, od czego zacząć.

- Chodzi o tamto ciało.

- Jakie ciało?

- To, które rzekomo należało do ciebie.

- Frank je wynalazł - wyjaśniła. - Postarał się o zwłoki, żeby wrobić Luke'a i pozostałych.

Luke i pozostali to byli kumple Ricky'ego z marines: Luke Callaghan, Tyler Murdoch, Spence Harrison i Flynt Carson.

- To prawda, ale wuja Carmine i mnie też nabrali. Potem tłumaczyli, że nie mogli postąpić inaczej.

- Och, Ricky.

Smutek w jej głosie go zawstydził. Lecz nosił w sobie żal od dnia, kiedy tamto się zdarzyło. Przypomniawszy sobie, jak rozpacział nad trumną, jak gdyby rozkładające się ciało należało do jego siostry.

- Naprawdę wierzyliśmy, że zginęłaś, Haley. W kostnicy kompletnie się załamałem. Patrzyłem na te zwłoki i opłakiwałem ciebie. Tak strasznie mi ciebie brakowało. - Umilkł na chwilę, westchnął głęboko. - Wiedziałem, że Frank spalił twoje dane stomatologiczne, żeby nikt nie miał do nich dostępu. Byłem w to zamieszany. W oszustwo, za którego sprawą moi kumple trafili do więzienia.

Fortel się nie udał. Luke'a i pozostałych uniewinniono. A wiele lat później okazało się, że Haley żyje. Mimo to Ricky żałował, że nie może cofnąć czasu. Zacząć życia od nowa, naprawić krzywd.

- Czuję się jak ostatni łajdak.

- Już wszystko w porządku. To się stało tak dawno. - Podeszła i usiadła na poręczu jego fotela.

- Tak mi przykro.

Patrzył na nią, przypominając sobie lata, kiedy wędrowała za nim krok w krok, pełna szacunku dla starszego brata. Psuł ją okropnie i płał się w jej podziw.

- Powinienem był powiedzieć tobie i Luke'owi już dawno.

- Mój mąż zrozumie. Po tym, co wszyscy przeszliśmy, nie umiałby cię winić. - Poglądziła go po skroni. Lena podniosła na niego oczy i uśmiechnęła się szeroko. - Powinniśmy myśleć o przyszłości.

- To znaczy, że mi wybaczasz?

- Oczywiście. A teraz powiedz, co cię dręczy.

- Nie mogę.

Nie potrafiłyby rozmawiać o Lourdes nawet z Haley. Siostra nie naciskała. Siedziała obok niego w milczeniu długą chwilę, przyglądając się, jak Lena bawi się taśmą.

- Powinnam już iść. - Wzięła córeczkę na rękę. - Ale wrócę, żeby się upewnić, że nie umarłeś z głodu. Przyniosę ci lasagne na kolację.

Pocałowała go na pożegnanie, a Lena pomachała mu rączką, w której cały czas ścisnęła taśmę.

- Bądź grzeczna - powiedział do dziewczynki.

Miał zamiar rozpieszczać ją tak samo jak Haley.

Kiedy został sam, zastanowił się, co robić dalej. Przypomniał sobie pocztę. Przejrzał listy, a następnie obejrzał paczkę. Serce stanęło mu w piersiach. Przesyłka pochodziła od Lourdes. Nerwowo rozerwał papier. W środku był krzyżyk. Do paczki nie dołączono żadnego listu, lecz napis wyryty na krzyżyku wyjaśniał wszystko. *Aby cię chronił.*

Słońce już zachodziło, barwiąc niebo szkarłatem. Ricky zadzwonił do siostry i odwołał kolację. Teraz dojeżdżał do rancza Lourdes z silnie bijącym sercem. Zaparkował obok baraku dla robotników; przez chwilę siedział w wozie, zbierając myśli, zastanawiając się, czy ma prawo tu być.

Podniósł wzrok i spostrzegł, że drzwi domu są otwarte. - Wiedział, że to musi być Lourdes; wyczuwał jej obecność.

W miejscu, gdzie się kochali. Poczuł łaskotanie w dole brzucha. Czyżby zamierzała wynająć barak nowym pracownikom? Czy znalazła kogoś na stałe? A może nadal pomaga jej robotnik Westina?

Opanował się, wszedł po schodkach na ganek, stanął w drzwiach baraku i zobaczył ją. Stała zwrócona do niego plecami, widział jej włosy - długie pasma o barwie miodu splecione w warkocz. Wciągnął gwałtownie powietrze, nie ośmielając się podejść bliżej. Pragnął ją dotknąć, objąć, odzyskać to, co stracił. Nie chcąc jej przestraszyć, szepnął cicho:

- Lourdes?

Obróciła się; przez moment patrzyli na siebie.

Ricky - odpowiedziała. Pierwszy raz nazwała go jego prawdziwym imieniem.

- Wpadłem, żeby ci podziękować. - Dotknął krzyżyka zawieszzonego na szyi. - To bardzo dużo dla mnie znaczy.

- Chciałam, żebyś go zatrzymał.

- Czemu?

- Bo chcę, żebyś był bezpieczny.

Wszedł do wnętrza; cofnęła się o krok. Serce ścisnęło mu się w piersi.

- Boisz się mnie, Lourdes?

- Boję się o ciebie, Ricky.

Jego imię. Znowu.

- Nie rozumiem.

Promienie słońca wpadały przez szpary w żaluzjach rozświetlając jej skórę.

- Boję się tego, co cię może spotkać. Z powodu twojej przeszłości. - Przesunęła rękami po spodniach, jakby zwilgotniały jej dłonie. - Wiem, że moja rodzina pozostanie bezpieczna. Ale ty...

- Nic mi się nie stanie.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Nie mogę. Ale będę uważał. Będę siedział cicho. Chciał się uwolnić od przeszłości - w każdym razie o tyle, o ile to możliwe. Podejrzewał, że jej cień będzie się za nim włókł już zawsze.

Pogładziła indiański pled wiszący na oparciu krzesła.

- Mimo to się martwię.

- Czemu? Bo wciąż ci na mnie zależy? Drgnęła.

- Oczywiście, że tak. Musiał wiedzieć, jak bardzo.

- Jak na przyjacielu? Czy jak na kochanku?

Lourdes zamarła. Jak ma na to odpowiedzieć? Jak wyznać, że w jej sercu panuje zamęt? Przyszła tutaj, by spędzić parę chwil w miejscu, gdzie mieszkał; pił poranną kawę, czytał wieczorem gazetę, przygotowywał się do snu. Nie spodziewała się, że zobaczy jego

samego - jakby w odpowiedzi na jej tęsknotę. Teraz obserwował ją w milczeniu swymi ciemnymi oczyma, czekając na odpowiedź. Tak bardzo go pragnęła.

- Powinieneś już iść - szepnęła.

Zanim zrobię coś szalonego, dodała w myślach.

- Skoro tak sobie życzysz.

Nadzieja w jego oczach zgasła; ruszył do wyjścia.

- Nie! - zawołała.

Obrócił się w mgnieniu oka i chwilę później stali ciasno objęci.

- Zostań ze mną - szepnęła. Spojrzał jej w oczy z natężeniem.

- Jak długo?

Kolana uginały się pod nią, serce tłukło się o żebra. Zapach jego wody kolońskiej - męska mieszanka dymu drzewnego i tajemnicy, mgły i magii, otoczyła ją niczym wspomnienie. Czy jedna noc wystarczy? Czy mogłaby się z nim kochać, a potem pozwolić mu odejść? Nie, pomyślała. Nie mogłaby. Nie może przez resztę życia oplakiwać popełnionego błędu.

- Na zawsze - powiedziała łamiącym się głosem. - Zostań ze mną na zawsze.

Nie poruszył się. Stał doskonale nieruchomo, wiedziała jednak, że w jego wnętrzu szaleje nawałnica.

- Jesteś pewna? - szepnął.

- Tak. - Tak bardzo pewna. Tak bardzo zakochana.

- Ufasz mi? - spytał znowu. - Naprawdę wierzysz, że wytrwam?



I nie wróci do mafii? Popatrzyła mu w oczy. Miały barwę przejrzystego bursztynu. Ciemne jak jego trudna przeszłość, lecz szczerze i pełne dobrej woli.

- Ufam ci. - Przesunęła palcami po jego policzku. -Ufam Juanowi. I ufam Ricky'emu. - Ponieważ był jednym i drugim. I obaj ją kochali. - Wiem, jaki masz charakter. Potrafię zajrzeć w twoją duszę.

Ujął jej rękę i podniósł do ust.

- Ty jesteś moją duszą. Ty i twoi bliscy.

A on był jej duszą. Było im przeznaczone wspólne życie. Wiedziała to teraz. Popatrzyła na krzyżyk na jego szyi. W jakiś sposób należeli do siebie zawsze, zanim jeszcze się poznali.

- Jak się tu dostałeś tamtej nocy, kiedy cię pobili? - spytała. - Jak trafiłeś do mojej stodoły?

- Zaskoczyli mnie, kiedy oglądałem jeden z należących do mnie składów w tej okolicy. Było ciemno, więc uciekłem między budynkami, a potem ruszyłem do stacji benzynowej jakieś piętnaście kilometrów stąd. Tankowała tam półciężarówka z przyczepką dla konia, więc się ukryłem w środku.

Serce zabiło jej mocniej.

- To był mój wóz, prawda?

Nagle wszystko się wyjaśniło. Wracała z pokazu roczniaków i zabrakło jej benzyny.

- Wypełzłem z przyczepy, kiedy się zatrzymałaś, żeby otworzyć bramę - ciągnął dalej. - Noc przespałem w stodole, a następnego dnia mnie znalazłaś.

- To było przeznaczenie - szepnęła.

Popatrzyła na niego, utrwalając sobie w pamięci jego twarz: silnie zarysowane brwi, zdecydowana linia policzka, cień zarostu. Pochylił się do niej.

- Wyjdiesz za mnie? Czy będziesz nosić moje nazwisko? I czy pozwolisz mi zaadoptować twoje córeczki?

- Tak - odpowiedziała. - Tak.

Łzy napłynęły jej do oczu. Położyła głowę na jego ramieniu.

- Więc mam wszystko. Więcej, niż zasługuję. Pogładził jej włosy, przesuając palcami po splotach warkocza. Pocałowała go, mruknął z rozkoszy. Wkrótce potem pieścili się, rozbierając się nawzajem. Tym razem nie śpieszyli się jednak, poddając się nastrojowi chwili.

Mężczyzna uśmiechał się, kiedy szykował posłanie na sofie, a potem prowadził Lourdes za rękę w stronę białych prześcieradeł i miękkich poduszek. Zanurzyli się w nie oboje i tulili się długo i delikatnie w zmierzchającym świetle. Potem nagle ogarnęła ich namiętność. Westchnęła, kiedy uniósł jej biodra i wszedł w nią zdecydowanie. Kochali się gwałtownie, lecz była w tym także czułość. Prawda, którą widzieli w swoich oczach, i poświęcenie, jakie ponieśli dla siebie. I strach. Lourdes nie pozwoliła sobie jednak myśleć o tym, że mogłaby go utracić. Ricky Mercado należał do niej i zamierzała z nim żyć długo i szczęśliwie.

Naprawdę będziesz naszym tatusiem? Nina wpatrywała się w niego uważnie; Ricky uśmiechnął się szeroko. Powtarzała to pytanie kilka razy dziennie, upewniając się wciąż od nowa.

- Tak, panienko, będę.

- I będziecie mieli z mamą dzidziusia? - włączyła się Paige.

- Mam nadzieję.

- Chcę mieć braciszka - oświadczyła Nina.

- Ja też. - Paige uśmiechnęła się słodko. Do pokoju weszła Amy.

- Wiesz co? - Nina nie mogła wytrzymać, żeby się nie podzielić wspaniałą nowiną, - Będziemy miały małego braciszka.

- Naprawdę? - Nastolatka wytrzeszczyła oczy. Ricky pośpiesznie wytłumaczył jej, że to tylko życzenia.

- Na razie jesteśmy na etapie planów - stwierdził. -Może się jeszcze okazać, że dziewczynki będą miały siostrę.

- To może od razu bliźniaki - zażartowała Amy. -Dziewczynkę i chłopca.

Ricky wyszczerzył zęby. Pomysł całkiem mu się podobał. Tym bardziej że rozmawiał już z Lourdes o konieczności powiększenia domu. Chcieli w nim oboje zamieszkać jako małżeństwo.

Zdecydowali się na wystawny ślub, kiedy tylko uporają się z formalnościami. Amy miała zostać druhną, a obie dziewczynki miały sypać kwiaty..

Do salonu weszła Caco; usiadła na krześle obok Amy i uśmiechnęła się do Ricky'ego. Wiedział, że w jej oczach są już z Lourdes małżeństwem. Ricky podarował swojej przyszłej żonie kilka

klaczy - nie wiedział, że u Komanczów tak postępował przyszły mąż. Przyjęcie daru było równoznaczne z zaślubinami.

- Czemu mama jeszcze nie jest gotowa? - spytała Nina.

- Nie wiem.

Ricky czekał ubrany do wyjścia, podobnie Amy, Caco i bliźniaczki. Wybierali się na kolację do klubu golfowego - uroczysty posiłek, na który Ricky zaprosił ich wszystkich.

- Pójdę zapytać.

W sypialni zastał Lourdes dokonującą ostatnich poprawek przed lustrem. Miała na sobie obcisłą czarną suknię, włosy spięła w kok, z którego wymykały się pojedyncze pasma włosów. Stanął za nią; przez chwilę patrzyli na swoje odbicie.

- Wyglądasz wspaniale.

- Naprawdę?

Nerwowo poprawiła włosy. Dopiero teraz spostrzegł, jak bardzo jest zdenerwowana. Objął ją w pasie i przytulił do siebie. Kiedy wtulił twarz w jej szyję, odprężyła się trochę. Wdychał subtelny zapach jej perfum, przywodzący na myśl karmel i wiosenne kwiaty.

- Moja rodzina padnie przed tobą na kolana.

- Nie jestem osobą z towarzystwa, Ricky. Tak się boję, że nie będę do nich pasować.

- Żartujesz? Masz prawdziwą klasę. A moja siostra nie może się doczekać, kiedy cię pozna. I tato też.

Po przyjeździe na miejsce usiedli za długim stołem w najelegantszej sali. Bliźniaczki nie posiadały się z radości.

Natychmiast zamówiły wodę z sokiem i popijały ją przez słomki jak małe damy. Zaczęli się schodzić pozostali goście - przyjaciele i członkowie rodziny Ricky'ego.

Zjawił się Westin, eskortując swoją oszałamiająco piękną żonę Celeste, która od lat dyrygowała twardym eks-komandosem. Johnny Mercado przyszedł z Haley, jej mężem Luke'em i małą Leną. Tyler i Marisa Murdoch, oboje ciemnowłosi i ciemnoocy, prezentowali się bardzo elegancko, podobnie jak Cole Yardley i jego żona Elise.

Kiedy Ricky i Yardley wymieniali uścisk dłoni, agent nachylił się i szepnął:

- Mam nowe wieści. Nie ma potrzeby, żebyście urządzali z Westinem polowanie na Gonzaleza.

- Złapaliście go?

- Nie, ale dopadł go handlarz narkotyków, którego oszukał.

Co znaczyło, że Gonzalez nie żyje. Ricky spojrzał na Westina. Jego żonie kamień spadł z serca, pomyślał. Potem przeniósł uwagę na Lourdes. Ona też się ucieszy. Więcej nawet, biorąc pod uwagę, jak bardzo się obawiała go stracić. Siedziała teraz obok, gawędząc przyjaźnie z Haley. Obie kobiety od pierwszej chwili przypadły sobie do serca, co go bardzo ucieszyło.

Wrócił do przyglądania się gościom. Patrzył na Luke'a, swojego najbliższego przyjaciela i zarazem szwagra. Ubiegłego lata Ricky był drużbą Luke'a; w tym roku chciał poprosić kumpla, by wystąpił w podobnej roli na jego ślubie.

Spojrzał z kolei na Johnny'ego Mercada. Z pewnością chętnie poprowadzi Lourdes do ołtarza w zastępstwie jej nieżyjącego ojca.

Ricky uśmiechnął się do swojej towarzyszki.

Jego Lourdes. Jego anioł. Dała mu szansę, by zaczął jeszcze raz, by stał się człowiekiem, jakim powinien być. Szczęśliwym mężczyzną posiadającym dom pełen dzieci i doskonale prosperujące ranczo.

- Kocham cię - szepnął. Jej oczy zasnuła mgła.

- Ja też cię kocham - odparła.

Przez kilka sekund patrzyli na siebie, czując się, jakby czas przestał istnieć. A potem wrócili do rozmów z rodziną i przyjaciółmi, szczęśliwi, że mogą być razem.

Już na zawsze.